BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH

WYCHODZI CO TYDZIEŃ

w objętości jednego tomu.

WARUNKI PRENUMERATY

w WARSZAWIE:		**Z przesyłką pocztową:**	
Rocznie . . (52 tomy)	rs. 10	Rocznie . . (52 tomy)	rs. 12
Półrocznie (26 tomów)	„ 5	Półrocznie (26 tomów)	„ 6
Kwartalnie (13 tomów)	„ 2 kop. 50	Kwartalnie (13 tomów)	„ 3

Za odnoszenie do domu 15 kop. kw.

Cena każdego tomu 25 kop., w oprawie 40 kop.

DOPŁATA ZA OPRAWĘ:

Rocznie . . (za 52 tomy) . . . rs. 6 kop. —
Półrocznie. (za 26 tomów) . . . „ 3 „ —
Kwartalnie (za 13 tomów) . . „ 1 „ 50

Za zmianę adresu na prowincyi dopłaca się 20 kop.

REDAKTOR I WYDAWCA

Franc. Jul. Granowski.

Redakcya i Administracya: Warszawa, Nowy-Świat 47.—Telefonu 1670
we Lwowie Plac Maryacki l. 4.

Drukarnia A. T. Jezierskiego, Nowy-Swiat 47

BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH.

№ 204.

ESTER

POWIEŚĆ Z CZASÓW NIEWOLI BABILOŃSKIEJ

przez

Ks. B. MARYAŃSKIEGO.

TOM III.

Cena 40 kop.

W pren. 30½ kop.

WARSZAWA.

Redakcya i Administracya

47. Nowy-Świat 47.

1901.

ESTER.

Ks. B. MARYAŃSKI.

ESTER

Powieść z czasów niewoli babilońskiej.

TOM III.

WARSZAWA.
DRUKARNIA
A. T. Jezierskiego
47. Nowy-Świat 47.

Дозволено Цензурою.

Варшава 6 Октября 1901 года.

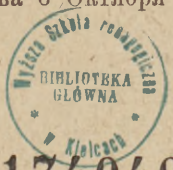

174040

XV.

Na podwórzu domu Aminadabowego, przy stu dni, na miękkich kanapkach leżeli Mardochai i Zam mamanaddin.

Przed nimi na nizkim stołeczku stały naczynia z winem i owoce w koszykach. Nagi niewolnik kręcił się, usługując.

Dzień był upalny, ale gęste liście sykomoru i ściana z bluszczu nie przepuszczały promieni słonecznych.

Było tu więc chłodno i przyjemnie.

Mardochai był zamyślony i senny; Zammamanaddin przeciwnie, ożywiony... Przeklinał Persów wszystkiemi zasobami przekleństw, a miał ku temu świeży powód.

Achaszwerosz wywyższył Hamana nad wszystkich książąt, uczynił pierwszym ministrem i rozkazał, aby wszyscy padali przed nim na twarz.

To oburzało Zammamanaddina.

— Oby ich Namtar zdusił, tych psów! — wołał, nalewając wino do czary. — Oby Allath męczyła ich bez litości! Padać na twarz przed Hamanem, które-

go ojciec był najemnikiem w naszych wojskach, to gorsze od śmierci.

— Ty znasz jego ojca?

— Ja miałbym go znać? Niech go psy znają, ale ja go nie znałem.

— Zkąd tedy wiesz, że był żołnierzom asyryjskim?

— Opowiadał mi ten lekarz, który leczył Aminadaba. Nazywał się Hamedatha i pochodził z Armenii, czy z Agar.

Wychylił czarkę, wyciągnął się na kanapie i mówił dalej:

— Padać przed nim na twarz, dziwny rozkaz! Co na to powiedzą inni książęta? Co powie nasz dostojny Charszna?

— Będą się kłaniali Hamanowi!

— Tak myślisz?

— Przekonasz się.

— Ależ to upodlenie wielkie.

— Kto na to zwraca uwagę. Każdy dba o głowę, ale nie o cześć.

— A ty upadniesz przed nim?

— Mnie zabrania moja religia oddawać cześć boską człowiekowi.

— To tylko wykręt. Kłaniają się wam przecie niewolnicy.

— Tak, ale my nie uważamy się za równych bogom.

— Ale czemże się zasłużył ten Haman?

— Uczciwy człowiek nigdy nie zostanie wyniesiony, tylko ten, który umie schlebiać pańskim słabościom, a Haman to pochlebca wielki.

— Nienawidzę go.

— Lękam się jego wpływu na króla, bo on nasz przeciwnik.

— On ma dużo zwolenników, wchodzi do króla w każdej porze; król go ojcem swym nazywa.

— Niebezpieczny człowiek.

— On jeszcze zamorduje Achaszwerosza i sam zostanie królem.

— Niech Bóg zachowa nas od tego. To wróg nasz; onby nas zgubił.

— Czegoż on chce od was?

— To zdrajca narodu; odstępca od wiary. Mniema się potomkiem króla Agaga, którego Saul pokonał, ale naprawdę jest izraelitą. Wyparł się swego pochodzenia i nienawidzi swych współziomków.

— To podły człowiek.

— Gdyby wiedział, że Ester jest z narodu Hebreów, knułby przeciw niej spiski.

— Nienawidzi też naszego dostojnego Charszny.

Mardochai machnął ręką i rzekł:

— Jeden z nich zginąć musi, ale nim to nastąpi, możemy ucierpieć wiele. Gdyby Hadassath nie została królową, pojechalibyśmy z karawaną w dalekie kraje i ukrylibyśmy się przed złością tego człowieka, który, przeczuwam, zgubę nam zgotuje.

— Kiedy spodziewasz się powrotu Aminadaba?

— Bóg to raczy wiedzieć. Karawana skierowała się do morza; tam nakupi wonności indyjskich, potem zwróci się ku północy i przez Rages, Ekbatanę, Madaktę powróci do Suzy.

— Była przed odjazdem jasnowidząca?

— Nie mówił mi o niej, ale spokojny był, a nawet wesoły, gdy odjeżdżał.

— Był u mnie na pożegnanie, obiecał przywieźć mi kakadu.

— Niech Bóg go ma w opiece!

— Oby wszechmocny Ea oddalał od niego wszelkie nieszczęścia.

Rozległo się kołatanie do drzwi.

Odźwierny odsunął rygle i na dziedziniec wszedł człowiek średniego wzrostu, o kruczych włosach, w których świeciły liczne nitki srebrne.

Skłonił się przed Mardochaim aż do ziemi.

— Cześć ci, dostojny panie!

— Bądź pozdrowiony, Barnabo!

— Niewolnik twój życzy ci zdrowia i długich lat życia; pragnie włożyć w uszy twoje ważną nowinę, ale boi się mówić.

Spojrzał zukosa na Zammamanaddina.

— Mów śmiało, Barnabo, niech ci się zdaje, że oprócz mnie i ciebie nikogo tu niema.

— Któż jest ten człowiek?—zapytał Zammamanaddin.

— To mój dawny znajomy, wzięty razem ze mną do niewoli; dziś jest niewolnikiem u Bigthana.

— Bigthan jest „uchem" Hamana, najwierniejszym jego sługą i przyjacielem!—zawołał Zammamanaddin, patrząc bystro w oczy Barnaby.

Barnaba zbliżył się do stołu, pochylił głowę i prawie szeptem wyrzekł:

— Bigthan zabije króla!

Obaj pisarze porwali się na nogi, jakby ich kto podrzucił.

— Co mówisz?—krzyknął Mardochai.

— Prawdę mówi sługa twój, panie.

— Zkąd wiesz o tem?

— Słyszałem rozmowę Bigthana, który mówił do Tharesa, że kapłan bogini Anahity, Eabani, który nosi zioła trujące do haremu, zginął, ale truciznę ma od czarownicy.

Zammamanaddin poruszył się niespokojnie:

— Mówił o kapłanie Eabani?

— Mówił, że nie można go znaleźć.

— Kapłan ten nosił truciznę do haremu? — zapytał strwożony Mardochai.

— Spotkali go w ogrodzie anderunu pan mój Bigthana i Thares. Opowiadali, że miał im dać trucizny, ale zginął.

— Biedna Estero!—westchnął Mardochai.

— Zkąd wiesz, że ta trucizna potrzebna im dla zabicia króla?—zapytał Zammamanaddin.

— Słyszałem, jak mówili, że trucizny dostarczyła im czarownica, że po dniu jutrzejszym jest ich kolej stróżowania przy sypialni królewskiej, że Bigthan ustawi przy łożu królewskiem kosz świeżych kwiatów z trucizną. Gdy to króla nie zabije, wnijdą rano z Tharesem i uduszą go rękami.

Nastało milczenie; przerwało je nowe kołatanie we drzwi.

Wszedł Athach.

— Pozdrowienie panu memu od królowej Estery—rzekł, kłaniając się.—Cześć waszym dostojnościom od sługi waszego Athacha. Oby Isztar Arbelska miała was w opiece!

— Oby słowa twoje wysłuchała wielka bogini—zawołał Zammamanaddin; — ale nieszczęście wisi nad głową twej pani.

— Niech anunnowie odwracają nieszczęście! Chcą zabić królowę?

— Chcą zabić króla — rzekł Zammamanaddin— ale i królowej nie oszczędzą, gdy będzie z nim w łożnicy!

— Boże!—zawołał Mardochai.

— Niech opowiedzą mi dostojności wasze, kto czyha na życie królewskie i co trzeba robić, aby temu zapobiedz?

— Oznajmij swej pani—rzekł Zammamanaddin— że jutrzejszej nocy w łożnicy króla będzie kosz zatrutych kwiatów; niech ich nie dotyka i niech oznajmi o tem królowi.

— Powiem zaraz swej pani — zawołał Athach i chciał odejść, ale zatrzymał go Mardochai:

— Bądź ostrożny, Athachu, abyś nie popsuł wszystkiego. Bigthan i Thares mogą się wyprzeć, a zemsta ich spadnie na nas.

— Więc to oni gotują zdradę! — krzyknął Athach.—Są napewno przekupieni przez jednego z książąt, ale o tem mówić nie wolno.

Gdy Athach z Barnabą wyszli, Mardochai rzekł:

— Opowiem wszystko Charsznie, niech z marszałkiem pilnują zdrajców. Dałbym sobie odciąć rękę, że Haman jest przeciwnikiem króla, i ci dwaj zaślepieńcy działają dla niego. Trzeba mu popsuć zamiary.

— Niech go zdusi Angromania! — wykrzyknął Zammamanaddin i wyszedł.

Angromania jednak nie zdusił tym razem Hamana, ale owszem, wywyższył go Ahuramazda.

Achaszwerosz, uprzedzony przez Ester i Charsznę o grożącem mu niebezpieczeństwie, kazał zbadać róże, które ustawił Bigthan u wezgłowia w łożnicy. Na liściach i kwiatach był rozsypany drobny pył biały.

Niewolnik, któremu kazano wąchać kwiaty, padł martwy na ziemię.

Gniew króla nie miał granic.

Kazał natychmiast przywołać Hamana i ukarać zdrajców wedle całej surowości praw perskich.

Nieszczęśni Bigthan i Thares zostali okuci w kajdany i wrzuceni do lochów.

Zaledwie słońce ozłociło dachy i baszty i atra-

wowie [1]) wyjęczeli swe powitania do Ahuramazdy, gdy najwyższy sąd zasiadł w bramie pałacowej.

Na stolicy przewodniczącego siedział Haman; obok niego, jako członkowie sądu, dostojni Charszna i Marszna.

Na świadków powołano Mardochai, Zammamanaddina, Barnabę i Athacha.

Na schodach, balkonie, na krużgankach, w bramie i na podwórzu stał zbity tłum wojska, oprawców i ciekawych.

Wprowadzono zbrodniarzów.

Okropny przedstawiali widok: nadzy, z pokaleczonemi plecami, posypani solą, z wędzidłami w ustach, z których krew płynęła, niepodobni byli do ludzi.

Haman przymknął oczy i nieco przybladł; tłum wyrzucał przekleństwa.

— Głupcy! — zawołał Haman — odważyliście się targnąć na święte życie króla, którego niech Aburamazda i wszyscy bogowie zachowują w jak najdłuższe lata. Opętał was Eszem-dew i złe duchy. Wasze zamysły złe i głupie zostały ujawnione. Zasłużyliście na śmierć okrutną i ta was nie minie. Starajcie się przynajmniej uchronić od zguby wasze rodziny i dlatego powiedzcie śmiało i otwarcie, kto was namówił do złego.

Oczy jego patrzyły niespokojnie i badawczo na skazańców, którzy jęczeli z bólu.

— Pamiętajcie, że od was zależy ocalenie rodzin—zawołał ze szczególnym naciskiem.

---

[1]) Kapłani ognia.

Ale oni otwierali usta i jęczeli głośniej.

Haman skinął.

Oprawcy obwiązali ich sznurami wkoło piersi i powiesili za nogi na ścianie.

Krew buchała im z ust.

— Przyznajcie się do winy.

Jęk był odpowiedzią.

Podpalono pod nimi suchy gnój, a gdy jeszcze milczeli, chłostano rózgami.

Stracili przytomność. Dano im jakiś płyn w usta i rozcierano skronie maściami.

Tymczasem Haman rzekł:

— Należy zaprzestać tortur, bo oni może niewinni.

— Trzeba spełnić wolę króla — rzekł Charszna.

— Cóż jeszcze chcesz z nimi robić? — zawołał Haman.

— Chcę, ażeby powiedzieli, kto ich do zbrodni namówił i kto chce zająć tron po najjaśniejszym panu naszym, który niech żyje wiecznie.

Haman pobladł.

— Rób więc, co ci się podoba—rzekł.

Na rozkaz Charszny oprawcy wszczepili nieszczęśliwym nogi w kawałki drzewa, aż krew wytryskiwała pod paznogciami, potem włożyli im na nogi żelazne ostrza i zmuszali do chodzenia po ziemi, ciągnąc za uzdę i smagając rózgami.

— Przyznajcie się, kto was namawiał, a oszczędzę wam mąk—rzekł Charszna.

Otworzyli usta i zaczęli wyć straszliwie.

— Nie żałujcie ich!

Oprawcy powalili ich na ziemię, wsadzili w nozdrza trzcinę i przymuszali wciągać mieszaninę soli, saletry i octu. Potem założono im żelazne obręczk na kolana i bito w nie, dopóki nie strzaskano kolan.

Wreszcie szarpano im boki żelaznemi hakami i rzucono na kolce, przytwierdzone do ziemi.

Powtórnie stracili przytomość.

Gdy po chwili zaczęli jęczeć, Charszna rzekł:

— Powiedzcie, kto jest waszym wspólnikiem, a wyjednam wam u króla przebaczenie.

Ale oni wydawali słabe tylko jęki.

Do Charszny przystąpił Mardochai.

— Panie!—rzekł—próżno ich męczysz, oni nie mogą ci nic wyznać.

— A to dlaczego?

— Bo mają języki powyrywane.

Haman utopił w nim wzrok zjadliwy.

— Zkąd wie dostojność twoja o ich językach?— zapytał szyderczo—kazałeś im powyrywać?

— Ja nie pragnę zasiadać na tronie perskim— odrzekł Mardochai — nie należałem więc do spisku i nie miałem potrzeby obawiać się ich zeznań.

— Strzeż się jednakże, aby tobie języka nie wyrwano!—zawołał Haman.

Charszna tymczasem kazał przysunąć bliżej skazańców i przekonał się, że w rzeczy samej języki im powyrywano.

To doprowadziło go do wściekłości.

— Kto im języki powyrywał? — krzyczał na oprawców więziennych.

— Sami sobie odgryźli!

— Czemuście nie mówili o tem?

— Wasza cześć nie raczyła pytać.

— Oby was Angromania zdusił, synowie Eszemchowa!

Haman był zadowolony.

— Niech się nie gniewa wasza dostojność— rzekł wesoło — sąd prędzej skończymy i będziemy mieli spokój.

— Ależ musimy wiedzieć, kto kierował spiskiem?

— Jakże więc wydobędziemy zeznanie, kiedy mówić nie mogą?

— Niech napiszą na tabliczkach! — zawołał Mardochai.

Tłum przyklasnął tym słowom. Wszyscy podziwiali mądrość Mardochai, ale Haman pienił się ze złości.

— Mądrze powiedział Mardochai — rzekł Charszna — niech napiszą imię wspólnika, a prosić będziemy króla o łaskę.

Podano im tabliczki, ale okazało się, że ręce mieli tak okaleczone, iż władać niemi nie mogli, a tortury odebrały im rozum.

— Skończyć z nimi! — zawołał Haman.

— Śmierć im! — krzyknęły tłumy.

— Powiesić ich!

Oprawcy porwali nieszczęsnych, obleli ołowiem gorącym i powiesili na szubienicy.

Charszna rozkazał zapisać o tem w kronikach państwa z wymienieniem Mardochai, jako tego, który ocalił życie królowi.

Lecz to Mardochai nie cieszyło. Przeczuwał on w Hamanie nieubłaganego wroga.

Odstępca ten nie mógł patrzeć na wiernych swej ojczyźnie Hebreów: brzydził się ich zwyczajami, mową, religią. Myśl, jakby ich zgubić, nie dawała mu spokoju.

Śmierć swych popleczników i zniweczenie zamysłów spotęgowała tę nienawiść.

Gdyby nie ten przeklęty Mardochai i ten niewolnik Barnaba, zamach udałby się napewno; oni popsuli wszystko, i jeszcze domyślają się, że on brał w tem udział. A może mają dowody? Gotowi wy-

stąpić przeciw niemu z oskarżeniem. Należy ich uprzedzić.

Postanowił przedewszystkiem usunąć Mardochai, na którego u dworu zwrócono uwagę.

Król rozkazał wynagrodzić go za wierność, której źródła nie domyślał się wcale, ale Haman, ufny w swą potęgę, puścił rozkaz mimo uszu.

Mardochai nie dbał oto, jednak z niepokojem patrzył w przyszłość, która stawała się tem posępniejszą, im bardziej rosła potęga jego przeciwnika.

Lękał się najbardziej o Esterę. Gdyby Haman dowiedział się o jej pochodzeniu, napewno nie wzdrygnąłby się przed żadnym środkiem, aby ją usunąć. A wszystko chyliło się przed nim. Król nazywał go swym ojcem; dworzanie, żołnierze, słudzy padali na twarz, książęta drżeli przed nim.

Mardochai zaczął myśleć o środkach obrony.

Prosił więc sekretarza o uwolnienie go przynajmniej na jakiś czas, bo nie mógł swobodnie myśleć i pracować.

Po całych dniach siadywał w pałacu królewskim i czekał na Athacha, który przynosił mu wieści od królowej i zanosił jej od niego rady i przestrogi.

Niekiedy zachodził do mieszkania Zammamanaddina, który żartował z jego obaw i snuł przed nim tęczową nić przyszłości.

Tymczasem Haman otrzymał od króla wspaniały płaszcz szkarłatny, na którym rubinami i perłami wyhaftowane były bóstwa perskie: Ahuramazda i Anahita.

W płaszczu tym, w złocistej mitrze na głowie, otoczony licznym pocztem sług, zjawiał się co rano przed sypialnią króla, aby wejść do niego, gdy się obudzi. Gdy przechodził przez podwórza i przedsion-

ki, wszyscy padali na twarze, a niektórzy wydawali okrzyki na jego cześć.

Pewnego dnia siedział Mardochai zamyślony w kącie ogromnej sieni pałacowej. Było tu pełno dworzan, rzezańców, żołnierzy. Jedni się przechadzali, inni stali oparci o kolumny, a niektórzy nawet grali w kości lub szatrengi.

Nagle odezwała się trąbka oficera, stojącego na czele golamów, i wszyscy padli na twarz.

Haman przeszedł przez sień, nie patrząc na nikogo.

Gdy znikł za kolumnami, gwar zapanował na nowo, ale kilku dworzan spostrzegło, że Mardochai nie poruszył się nawet na powitanie Hamana.

Zaczęli go upominać:

— Czemuś nie upadł przed Hamanem?

— Nie zasłużył na to—odrzekł spokojnie.

— Wiesz przecie, że król tak rozkazał, a ty śmiesz sprzeciwiać się rozkazom królewskim?

— Są rozkazy, których spełniać się nie godzi.

W tej chwili zjawiły się „oczy i uszy" królewskie; zaczęto mu grozić, że zostanie oskarżony, jeżeli jeszcze raz odważy się wykroczyć przeciw rozkazom.

Gdyby nie wysoki urząd, jaki piastował w kancelaryi, na samych pogróżkach nie skończyłoby się, bo między zwolennikami Hamana powstało niebezpieczne wrzenie.

Ale Mardochai siedział spokojny, obojętny, jakby mu nic nie groziło.

Czekał na Athacha.

Tymczasem najniespodziewaniej Haman wracał od króla.

Tłum runął na ziemię, tylko Mardochai siedział nieporuszony.

Dumny minister przeszedłby, nie zwróciwszy

uwagi na to, ale wybiegło przeciw niemu „oko" królewskie, upadło na twarz, ucałowało ziemię i zawołało:

— Raczy wasza miłość nakłonić ucha swego na słowa, które chce wypuścić z ust swoich niewolnik twój.

Haman przystanął.

Słudzy jego chcieli odpędzić natrętne „oko," ale nagle z drugiej strony wysunęło się „ucho" i leżąc na brzuchu, wołało:

— Niech wolno będzie mówić „uszom" królewskim, które słyszą wszystkie słowa, urągające osobie równego bogom Hamana!

Haman pobladł.

— Mów!—wyrzekł krótko.

„Oko" podniosło się na kolana i, wskazawszy na Mardochai, zawołało.

— Panie, oto ten kłaniać ci się nie chce!

A „ucho" dodało:

— Mówi, żeś, panie, niegodzien tej czci!

I korzący się przed Hamanem tłum zaczął wrzeszczeć:

— Prawdę rzekli tamci, urągał ci, panie!

Haman, blady z gniewu, spojrzał na Mardochai, który siedział spokojny, obojętny, jak kiruby miedziane przed sienią.

Chciał mówić, ale gniew odjął mu mowę. Drżał cały, a oczy rzucały błyskawice.

Wreszcie zdławionym głosem rzekł:

— Czemuż dostojność wasza nie spełnia rozkazów króla?

— Rozkazy nie wszystkich obowiązują.

— Jak śmiesz wyjmować siebie od spełniania rozkazów najpotężniejszego naszego pana!

— Wasza cześć niech raczy pamiętać, żem jest pomocnikiem księcia rady, a ośmielę się dodać, że nie mam obowiązku padania na twarz przed wami.

Haman się uniósł.

— Nie mnie, ale bogom czynisz ujmę. Czyż nie widzisz, że noszę na płaszczu wyobrażenia potężnych Ahuramazdy i Anahity?

— Religia moja nie pozwala mi schylać czoła przed bogami cudzemi.

— Jaka to religia, której rozkazy więcej ważysz, niż rozkazy królewskie?

— Znasz ją, mości książę, bardzo dobrze. To religia twoich ojców, których się wypierasz.

Haman pozieleniał.

— Niewolnik jesteś i urągasz prawom perskim!

Mardochai na chwilę zaiskrzyły się oczy; ale na pozór spokojnie rzekł:

— Przypominam waszej miłości, że jestem pomocnikiem dostojnego Charszny, który należy do siedmiu książąt rady.

Haman rozgniewany poszedł.

Ale poprzysiągł w sercu straszną zemstę temu Żydowinowi, który już kilka razy okazał mu pogardę. Ten spokój, ta pewność siebie, z jaką przemawiał do niego Mardochai, doprowadzały go do szaleństwa. Przypuszczał bowiem, że Mardochai może mieć dowody przeciw niemu, może prowadzi jakie podziemne poszukiwania, by wystąpić z publicznem oskarżeniem.

To mu odjęło spokój.

Rano budził się ze drżeniem, niepewny, czy wieczorem będzie miał jeszcze głowę na karku. Wychodził z domu w blasku potęgi, ale nie wiedział, czy wróci jeszcze. Mardochai musi coś wiedzieć, a jeżeli wie, napewno coś knuje. Inaczej bowiem nie byłby taki hardy.

Wiedział, że żydzi pałali ku niemu nienawiścią zato, że wyparł się ich, że gardził ich językiem i religią, a więc nie ochronią go, jeżeli tylko będą mogli zgubić.

A Mardochai — to ich wódz, to gorący patryota; rozwinie wszystkie siły, aby się zemścić.

Należy więc usunąć go koniecznie i to jak najprędzej.

Ale niełatwo to było.

Od króla nie mógł żądać wyroku śmierci na Mardochai, który zajmował tak wysokie stanowisko, a nic złego nie uczynił. Stanęliby po jego stronie wszyscy książęta rady; sam Mardochai powoływałby się na swoją wierność dla króla, któremu ocalił życie; powstałby krzyk, a z tego on sam mógłby utracić zaufanie i łaskę monarchy.

Pytanoby się o winę Mardochai — i coby odpowiedział? Że mu się kłaniać nie chce? Nie jest to jeszcze wielkie przekroczenie. Wytłómaczy on się, że mu religia tego zabrania, a w państwie perskiem wolno każdemu wyznawać religię, jaką mu się podoba. Poparliby go w tem wszyscy książęta, a jeszcze gotowi wytłómaczyć królowi, że urząd Mardochai jest za wysoki, aby pozwalał mu padać przed księciem, jako zwykły człowiek.

Wtedy mógłby mu ten przebrzydły żydowin publicznie urągać.

To znów przychodziło mu do głowy, że może on umyślnie chce wywołać oskarżenie, ażeby doprowadzić do sądu, na którymby ogłosił przeciw niemu dowody.

Ogarniała go wściekłość i bojaźń.

Widział, że dopóki będzie żył Mardochai, on nie będzie miał spokoju.

Chciał go zgubić, ale bał się przeciw niemu wystąpić.

Nienawidził go też całą potęgą swej pysznej duszy, a nienawiść ta rosła, ilekroć razy spostrzegł, jak wszyscy padali na ziemię, a Mardochai siedział obojętny, jakby go nie widział...

XVI.

Nadszedł pierwszy miesiąc dwunastego roku panowania Achaszwerosza.

Nowy rok!

Przynosi on zawsze nowe nadzieje. Po wszystkie czasy wymagano od niego, aby lepszym był, niż jego poprzednicy. Cieszą się i łudzą wszyscy, gdy stary rok kończy swój żywot, a młody z pomroki się wyłania.

Suzyanie nie stanowili pod tym względem wyjątku. Muzyką, śpiewem i głośnemi okrzykami przyjęli rok nowy. Składali bóstwom ofiary, posyłali jedni drugim zielone flakoniki z olejkiem różanym, życząc, aby ten nowy rok był tak przyjemny, jak ten olejek, a wreszcie ucztowali przez cały dzień.

Tancerki, muzykanci, kuglarze zbierali obfite plony swych popisów.

Wieczorem zaroiło się na dachach wszystkich domów.

Noc była ciemna, bezksiężycowa, a niebo, usiane gwiazdami, przypominało szatę Ahuramazdy i mó-

wiło ludziom, że gdyby nie Angromania, rok nowy przyniósłby prawdziwe szczęście.

Lecz gwiazdki żywo mrugały z wysoka, jakby mówiły, że i ten nowy rok nie ziści nadziei, jakie w nim pokładają; bo Angromania, to bóstwo złego, żyje i żyć będzie, a przeto i nieszczęścia nie ustaną.

Ale ludzie nie zwracali na to uwagi; cieszyli się i łudzili i słuchali szczęśliwych wróżb, jakich im jasnowidzące w tym dniu nie szczędziły.

Niech się cieszą. Złudzenia osładzają życie i każą patrzeć śmielej w niepewną przyszłość.

Zaledwie jednak obwołano drugie godziny wieczorne i zaczęły gasnąć ogarki, a już Angromania wionął zimnym wiatrem północnym, który wzbił w górę tumany pyłu i napędził ciężką oponę chmur czarnych.

Zaszumiały drzewa w sadach miejskich i gajach okolicznych; wzdęły się fale na kanałach i rzece Choaspes, uderzyły z głuchym jękiem o brzegi i wyrzuciły pianę białą.

Gwar ucichł na dachach, pogasły ogarki; życie ukryło się we wnętrzach domów.

W tym czasie odbiła od brzegu łódź z fantastyczną głową na wysokiej szyi, która sterczała na dziobie łodzi. Dwaj silni wioślarze umiejętnie wiosłowali, a łódź szybko pruła fale, posuwając się do gajów, gdzie cmentarz królewski.

Od gajów dochodził szum tajemniczy; za łodzią srebrzyła się słabo smuga wody.

Na środku łodzi siedział człowiek w ciemnym, szerokim płaszczu, w wysokiej czapce medyjskiej.

Patrzył uważnie na chmury, które płynęły nizko, jakby brzemienne deszczem nie mogły wzlecieć wyżej.

... gałęzi, które, opuściwszy się z góry, płukały swe czubki w nurtach—i znikła pod liściastym dachem.

Człowiek w płaszczu wstał, wyskoczył na brzeg i zaczął się piąć w górę po stromej ścieżynie, która prowadziła w głąb gaju.

Wicher tu szalał z całą gwałtownością.

Na szczycie pagórka stała świątynia Ateszgah [1]) nad którą sterczała wysoka, czerwona Kach [2]). Ateszgach zbudowana była z cegieł, spojonych cementem, otoczona szerokim na dwanaście stóp murem, z nieociosanych brył kamiennych, osadzonych w cemencie.

Człowiek zatrzymał się przed bramą łukowatą, odrzucił obuwie z nóg i wszedł w ciemny korytarz.

Snuli się tu pobożni atrawowie [3]), ale on nie zwracał na nikogo uwagi, przeszedł przez kilka sal i znalazł się we wnętrzu świątyni.

Była to obszerna komnata, otoczona wysoką sklepioną galeryą; w każdej z czterech ścian komnaty była brama sklepiona. Na środku stał czworograniasty, płaski kamień, a na nim naczynie metalowe, po brzegi napełnione popiołem. Na popiele płonął ogień święty.

Dwaj atharwani [4]) w białych rękawiczkach, z zasłoniętemi chustką ustami, bronzowemi obcęgami poprawiali drzewa i łyżkami sypali na ogień wonności. Kilku innych odmawiało modlitwy, dokładało wonne-

---

[1]) Ateszgach—świątynia ognia.
[2]) Kach—wieża.
[3]) Kapłani.
[4]) Ludzie ognia (kapłani).

go drzewa sandałowego i aloesu — i rozdmuchiwało ogień, gdy przygasał, małemi mieszkami.

Oddech ludzki, dotknięcie gołą ręką, zanieczyszczało ogień, dlatego kapłani mieli usta zasłonięte i rękawiczki białe na rękach i nie dmuchali, ale używali mieszków.

Haman — bo on to był — zdaleka oddał cześć ogniowi, by go nie skazić oddechem, odmówił modlitwę, złożył w ofierze kadzidła i przeszedł do drugiego przedziału, gdzie w tej chwili odprawiało się nabożeństwo noworoczne.

Kapłani, ujrzawszy potężnego ministra, skłonili się nizko.

W półmroku, bo tylko smuga światła przedzierała się ze świątyni przez drzwi otwarte, widać było postacie pobożnych.

Haman stanął, odmówił modlitwę i stojącemu obok atrawie szepnął:

— Rathu! [1]).

— Słucha cię sługa twój — odrzekł tenże i zniknął w ciemności.

Po chwili wrócił i przeprowadził go do przedziału, gdzie była studnia do obmyć świętych.

Przez bramę otwartą widać było wspaniały ogród kwiatowy, nad którym szumiały cyprysy, drzewa oliwne i palmy.

W kilku punktach ogrodu płonęły ognie święte.

— Cześć ci, dostojny panie! — rzekł Rathu, wysuwając się z ciemności.

— Sługo Ahuramazdy—zawołał Haman — bądź pozdrowiony!

---

[1]) Przełożony nad ofiarnikami.

— Obyś był szczęśliwy! Oby Ahuramazda, Ardwisuru, Anahita, oby wszyscy Amszaspandowie, Izedowie słali ci pod nogi róże, obyś opływał w bogactwa i dostojności!...

— Nie jestem szczęśliwy, o Rathu!

— Czegoż ci potrzeba?

— Jeden podły żydowin knuje przeciw mnie zdradę.

— Knowania zdradliwe łatwo obali uczciwy a potężny Haman.

— Nie tak łatwo, pobożny kapłanie—rzekł Haman, zmieszany wzmianką o poczciwości.

— Cóż ci więc zagraża?

— Publiczna zniewaga.

— Któżby się na to ośmielił?

— Ten żydowin gotów na wszystko; gdy wszyscy padają przedemną na twarz, on ani się z miejsca ruszy.

— To cię tak przeraża?

— Król rozkazał kłaniać się, a on gardzi rozkazami króla.

— Śmiały człowiek.

— Podły, o Rathu!

Rathu zamyślił się, potem rzekł:

— Obawiasz się go?

— Nienawidzę go!

— Oskarż go przed królem!

— Lękam się, ażeby nie użył czarów na moją zgubę. Teraz mnie lekceważy, ale gdy wystąpię przeciw niemu, może mnie zgubić.

Rathu wskazał ręką na ognie święte, które błyszczały wśród drzew ogrodu, i rzekł:

— Ku której stronie wiatr zanosi zapach ognia, z tej powraca ogień Ahuramazdy, jako zabójca nie-

widzialnych dewów [1]), przychodzących z ciemności, zabójca złych, zabójca czarownic i złych wróżek.

— Wiem o potędze Ahuramazdy i dlatego przyszedłem do ciebie, o Rathu, abyś mi wskazał drogę, którą mam doprowadzić do zguby mojego wroga.

Athrarwan się zamyślił.

Haman wpatrywał się w jego twarz, chcąc wyczytać z niej, jaką mu Rathu da radę.

Po chwili Athrarwan rzekł:

— Żydowin jest, powiadasz?

— Żydowin, przybłęda z Jerozolimy.

— *Dajwajasna?* [2]).

— Tak jest, sługo Ahuramazdy.

Rathu wskazał znów na ognie święte i rzekł:

— *Adereksz* [3]) go zniszczy.

Ale Haman, jakby niezadowolony z tej przepowiedni, zawołał.

— To sługa królewski! Okazał swą wierność, gdy wydał zdrajców, czyhających na życie króla.

— Aha! więc to ten sam.

— Ten sam.

— Dajwajasna?

— Wróg *Ahury* [4]), bluźnierca Ahuramazdy!

Świątobliwy Rathu wpadł znów w zadumę, a Haman, uniesiony gniewem, mówił:

— Całe to plemię żydowskie jest podłe, które należałoby znieść z oblicza ziemi. Mają oni swój język, swoje zwyczaje, swoich bogów, a nami gardzą.

---

[1]) Szatanów.
[2]) Niewierny.
[3]) Błyskawice i grzmoty.
[4]) Religii.

— Oskarż ich przed królem, że nienawidzą nas i gotują zdradę i wymóż wyrok zaguby.

— Tak myślę, ale obawiam się, by swemi czarami nie obrócili gniewu króla przeciw mnie, ażebym, gotując im zgubę, sam nie zginął.

— Walki koniec zawsze jest niepewny — szepnął jakby do siebie Athrarwan.

— To też proszę cię, o Rathu, oznajmij mi wolę Ahuramazdy i wskaż sposoby, abym w walce wyszedł zwycięzcą.

— Chcesz poznać wolę Ahuramazdy? Dobrze, pójdź za mną.

Wyprowadził go do ogrodu.

Nad głowami ich szalała burza; drzewa szumiały, miotając gwałtownie gałęźmi; wiatr szarpał im odzienie. Płomyki świętego ognia to przygasały, to strzelały w górę; wonny dym palonego *hadhanajpata* [1]) napełniał wszystkie kąty w ogrodzie.

Rathu stanął; zaczął się wsłuchiwać w szum drzew, których mowę rozumiał dobrze; a mówiły o Hamanie. Rathu kiwał głową, szeptał zaklęcia, a drzewa szumiały gwałtownie, nierówno, jęczały, wyły, szamotały się.

Po długiej chwili Rathu rzekł:

— Potężny Ahuramazda pozwala wprawdzie myśleć każdemu, jak mu się podoba; pozwala oddawać sobie cześć w tej formie, jaką kto sobie wybierze, ale obiecuje ci nagrodę za wytępienie żydów, którzy są jego wrogami.

— A więc przepowiadasz mi zwycięztwo?

— Zwycięztwa bądź pewny, jeżeli tylko Angromania nie stanie po stronie dajwajasnów.

---

[1]) Drzewo granatowe.

— Tak, ale nie zawsze udaje mu się pokonać Angromanię.

Weszli do małej kapliczki, w której na ołtarzu płonął ogień. Rathu rzucił na ołtarz garść kadzidła; wzniósł się w górę gęsty, biały obłok dymu, który zaćmił ogień, gryzł oczy, upajał.

Haman przymknął powieki, oparł się o ścianę i wpadł w błogie upojenie.

— Módl się—zawołał Rathu.

Hamanowi stanął przed oczyma obraz nienawistnego Mardochai. Zapalił się gniewem i zawołał:

— Stwórco, gdy czciciele Mazdy wystąpią przeciw dajwajasnom, będziesz im błogosławił?

— Patrz!—rozległ się głos tuż za nim.

Otworzył oczy: w mgle dymu, przy ołtarzu stała szubienica.

— Co widzisz?

— Szubienicę.

— Tem się walka zakończy.

Ogień przygasł na ołtarzu; zrobiło się ciemno; w dymie kadzideł przesunęło się kilka cieniów, które ponuro powtarzały:

— Takich ludzi należy pogrzebać żywcem i wyciąć im serce, ludzi tych należy oślepić; na paznogcie ich skacze mara trupia i stają się oni nieczystymi na wieki.

— Przekleństwo im!—zawołał Rathu.

I rozeszły się dymy kadzideł, a na ołtarzu zapłonął jasny płomień.

Rathu rzekł:

— Znasz więc wolę Ahuramazdy, dostojny panie, i wiesz, co masz robić.

Haman nagle zapytał:

— W którym miesiącu tego roku Angromania zstąpi w otchłanie swego państwa ciemności?

— Boisz się go?

— Sam mówiłeś, o Rathu, że Ahurumazda błogosławić mi będzie, ale Angromania może sprzeciwić się i, jak zwykle, zniszczyć owoc błogosławieństwa.

— Mądre słowo twoje, dostojny panie, przezorność jest cechą mądrości. A co do Angromanii zaraz zobaczymy, który miesiąc wolny będzie od jego mocy.

Usiadł na nizkiej ławce, wyjął z torby niewielki sześcian porfirowy, zwany *pur* i rzekł:

— Pur ma sześć ścian, a na każdej liczbę. Trzy mówią „tak", trzy zaś „nie". Pytaj więc, a pur odpowiadać ci będzie.

Haman zapytał:

— Czy mogę zgładzić Hebreów w nizanie?

Rathu rzucił pur. Padł na liczbę nieparzystą.

— Pur mówi: nie!—rzekł.—Pytaj dalej!

— *Żiw* będzie mi pomyślny?—zawołał Haman.

Pur znów padł na liczbę nieparzystą.

Tym sposobem rzucano na wszystkie miesiące, ale pur wciąż dawał odpowiedzi przeczące. Dopiero Adar otrzymał liczbę parzystą.

— Niech dzięki będą Ahuramazdzie i tobie, sługo jego!—zawołał zadowolony Haman.

— Poczekaj jeszcze—rzekł Rathu—rzućmy losy na dzień.

Los padł na dzień czternasty.

Rathu wreszcie wziął do ręki pióro ptaka Simurga i, robiąc niem znaki tajemnicze, prosił Ahuramazdy o zwycięztwo dla Hamana nad Mardochai.

Rozległo się pianie koguta.

— Obmyj się w studni oczyszczenia — rzekł

Rathu — ażebyś zyskał względy *Melek Tausa* [1]) i idź w pokoju.

Haman złożył ofiarę, dał jałmużnę obfitą, wykąpał się w studni oczyszczenia i opuścił świątynię.

Już Mitra ozłociła niebo, co było znakiem, że niezadługo zabłyśnie potężne światło Ahuramazdy. Wiatr ucichł; drzewa, ozłocone czerwonym blaskiem, stały teraz spokojne; budzące się ptaki śpiewały; ranek był piękny, woniejący wiosną.

Athrarwani w białych szatach i białych wysokich czapkach zbierali się w gromadki, aby głośną modlitwą powitać wschodzące słońce i potrzykroć razy pryskać przeciw niemu wodą z dłoni.

Z prawej strony świątyni dochodziły nieprzyjemne, urywane krzyki sępów.

Tam bowiem, za świętym gajem, wznosiło się wzgórze, na którem był cmentarz *Mazdajasnów* [2]).

Był to wielki ogród, opasany murem, wśród którego piętrzyły się czerwone wieże okrągłe, zwane *dachma* [3]). Na wszystkich drzewach, dokoła dachm, czatowało mnóstwo sępów. Mazdajasnowie bowiem nie grzebali ciał swych zmarłych, ani palili, ale kładli na dachmach i pokrywali żelazną kratą, a sępy i jastrzębie leciały na żer, i w kilka godzin zostawiały z nieboszczka same tylko kości. Kratą przykrywano ciało dlatego, ażeby ptactwo nie rozciągało szczątków.

---

[1]) Melek Taus — honorowa nazwa szatana — znaczy anioł paw. Obrazem jego był kogut na świeczniku, albo paw.

[2]) Czcicieli ognia.

[3]) Wieża milczenia. Zwyczaj oddawania ciał na pożarcie sępom na dachmach przechował się jeszcze u Parsów indyjskich.

Wszędzie na murach i drzewach siedziały na czatach te żarłoczne ptaki, niektóre takie tłuste, takie opasłe, że latać nie mogły. Stróże więc cmentarni brali je na ręce i zanosili na trupa, którego pożerały.

Hamana niemile dotknął ten widok, naprawdę wcale nieprzyjemny. Przyszła mu myśl niepożądana, że niezadługo już ciało jego stanie się pastwą tych żarłoków, a obgryzione kości opadną do głębokiego dołu dachmy i spoczną zmieszane z innymi.

Popsuło mu to wesoły nastrój.

Jednak pomyślał: „nim sępy podziobią moje ciało, ja podziobię ten naród wraży, a nim kości moje opadną połamane do wnętrza dachmy, złamię hardość tego psa żydowskiego i wygubię jego plemię i rzucę na pożarcie psom".

I zaiskrzyły mu się oczy, i zacisnął pięści.

A gdy szedł później do pałacu i spotkał siedzącego w sieni Mardochai, który spoglądał na niego obojętny, jak kirub bronzowy i zdawało mu się, że w obliczu jego czyta wyraz pogardy, postanowił zaraz dziś wystąpić z oskarżeniem.

Książęta rady czekali na króla w sali tronowej. Haman, chcąc przygotować ich do swego wystąpienia, zaczął narzekać na Żydów.

— Dzielni z nich kupcy i rzemieślnicy — przerwał mu Charszna, wieczny przeciwnik Hamana.

— Ale zachowują swój język odrębny — zawołał Haman — trzymają się swej dziwnej wiary...

— A zkąd wasza dostojność zna ich religię? Uczyłeś się jej?

Haman zrobił się pąsowy cały, bo poznał, że to jest przycinek do jego pochodzenia.

— Nie znam ich podłej wiary — krzyknął — ale wszyscy wiedzą, że jest różna od naszej.

— Każdy naród czci swoje bogi, a nikt tego za złe nie uważa.

— Ale Żydzi nienawidzą nas, marzą o powrocie do ojczyzny.

— Powinnością każdego człowieka jest kochać swą ojczyznę i szanować swój narodowy język — wtrącił Admatha, a Charszna zaraz dodał:

— Nie wszyscy zapominają o swych przodkach i swem pochodzeniu.

Haman spostrzegł, że w radzie nie będzie miał poparcia, ale postanowił dopiąć swego.

Wiedział, że nie ma tu przyjaciół, wiedział, że ci książęta, a zwłaszcza Charszna, nie pominą niczego, aby go obalić, a nawet zgubić, ale on ufny był w swe ogromne wpływy, jakie miał u Achaszwerosza, i w przepowiednie Rathu.

Gdy więc przybył król i zajął miejsce na tronie, Haman wystąpił z raportem:

— Królowi i panu mojemu sto lat zdrowia. Poleciłeś mi, o panie, czuwać nad spokojnością twej boskiej osoby i nad całością twych prowincyj. Obowiązkiem więc moim donieść ci, o królu, o niebezpieczeństwie, jakie nam zagraża.

Achaszwerosz zbladł.

W rozmaitych prowincyach wybuchały ustawiczne rozruchy; buntowali się satrapowie, powstawały ludy ujarzmione, nawet w swoim pałacu miał licznych nieprzyjaciół, przed którymi drżał najwięcej. Stanęli mu żywo w pamięci Bigthan i Thares.

Drżącym głosem zapytał:

— Któż zagraża państwu Medów i Persów?

— Jest naród w państwie twojem, o królu, rozproszony, który włada innym językiem, rządzi się swemi prawami i nie chce wypełniać rozkazów twoich.

— Kto się ośmiela sprzeciwiać woli mojej?

— Naród Hebreów, który rośnie w bogactwa i potęgę, który zjednywa sobie przyjaciół wśród ludów nam przeciwnych, który pocichu knuje spiski z Asyryjczykami, a nawet, obym się omylił, namawia Baltazara babilońskiego do wojny z nami.

— Cóżby wygrali na tej wojnie?

— Mają nadzieję, że Baltazar wróci im ojczyznę, gdy pomogą mu do opanowania kraju Medów i Persów.

Król pytał milcząco książąt rady.

Charszna rzekł:

— Nie zdaje mi się, aby naród ten był tak niebezpieczny. Żyją spokojnie, płacą podatki, są uczciwi; nie słyszałem, żeby co złego zamyślali.

— Wasza dostojność ich nie zna — zawołał Haman — naród ten niegdyś uciekł do Egiptu przed głodem, mały, ubogi i nic nieznaczący, a w krótkim czasie tak się rozrósł, że faraoni wydali rozkaz, aby każde dziecko płci męzkiej, które się narodzi z niewiasty hebrajskiej, było wrzucone do Nilu; a w końcu wypędzili ten naród na puszczę, aby z głodu zginął.

— I nie zginęli! — zadziwił się król.

— Ten dziwny naród ma jakieś czary, któremi się w biedzie chroni; przeto jest tem niebezpieczniejszy i należy go zupełnie wyniszczyć z pośrodka innych ludów.

— Ależ to przeciwne sprawiedliwym prawom Medów i Persów! — zawołał oburzony Charszna.

— To tylko samoobrona — odrzekł spokojnie Haman.

— Przecież oni nas nie zaczepiają?

— Uważają się za odrębny naród.

— I słusznie, bo nie są Persami, ani Medami.

— Knują spiski przeciw całości monarchii.

Książęta wybuchnęli głośnym śmiechem; nawet król uśmiechnął się nieznacznie.

— Co może nam zrobić taka garstka? — zauważył Admatha.

Haman zmieszał się na chwilę, ale wnet zapalony większym jeszcze gniewem, zawołał:

— Dostojności wasze nie widzą niebezpieczeństwa, bo nie znają tego ludu. Ale ja go znam i wiem, co nam grozi.

— Mówiono, że przodkowie waszej dostojności z tego ludu wyszli — rzekł Charszna. — Dziwno mi przeto, że tak na jego zgubę nastajesz.

Haman się oburzył:

— Niech słowa te wrócą do ust, z których wyszły — zawołał — a ja pamiętać muszę na całość i bezpieczeństwo państwa, któremu ten lud zagraża.

— Prosilibyśmy o dowody — zauważył Marszna.

— Małoż ich macie?

— Żadnego nie widzimy.

— Mówią innym językiem.

— To przecie nie zbrodnia. Każdy naród ma swój język.

— Gardzą bóstwami wszystkich ludów.

— Co nas to może obchodzić? — zawołał niecierpliwie Charszna.

— Bóstwa same się obronią — dodał Marszna.

Haman wściekły zawołał:

— Ustawicznie wzdychają do wolności.

— Wszystkie ludy mają tę wadę — rzekł Tharsis.

— Myślą o powrocie do Jerozolimy.

— Niech sobie myślą — rzekł Marszna.

A Charszna dodał;

— A jeżeli są tak niebezpieczni, niech sobie idą.

— Tak? — zawołał Haman — chcecie ich puścić do Jerozolimy, żeby zbierali wojska przeciw nam, żeby się łączyli z Egiptem, Asyryą, a może Babilonem?

A zwróciwszy się do króla, rzekł:

— Nie słuchaj ich, o królu, bo ich rada głupia; wierz słowom wiernego sługi swego, który pragnie oczyścić twe państwo z niebezpiecznych żywiołów.

— Jesteś pewny tego, co mówisz?

— Panie, rozkazałeś, aby oddawano mi pokłon królewski, a żaden tego nie czyni. Oto dowód lekceważenia twoich rozkazów. Można to cierpieć?

— Możeż to być?

— Mogą potwierdzić to twoje „oczy i uszy", które wszystko widzą i słyszą.

Nastało milczenie.

Książęta nie śmieli już bronić Żydów, a Haman tryumfował.

Ośmielił się Charszna rzec:

— Naród ten jest wielce pożyteczny, płaci podatki, jest między nimi wielu zdolnych rzemieślników, bogatych kupców; państwo straciłoby wiele, gdyby naród ten został wyniszczony.

Ale Haman zawołał:

— Oddam za niego do skarbu dziesięć tysięcy talentów srebra [1]).

Król jednak zaczął mówić o czem innem i książ-

---

[1]) Około 18 milionów rubli.

żęta cieszyli się, że Haman nic nie wskórał i milczący siedział do końca rady.

Ale gdy później nieco Haman był sam tylko u króla w jego gabinecie, powrócił do Żydów.

Pili wino aromatyczne; król był pijany, Haman więc rzekł:

— Dam *piszkasz* [1]) dziesięć tysięcy talentów, jakom przyrzekł, ale naród ten musi być ukarany, choćby dla przykładu innych.

Król zdjął pierścień z palca i, oddając go Hamanowi, rzekł:

— Srebro, które mi obiecujesz, niech twoje będzie, a z ludem czyń, co ci się podoba.

Wieczorem tego dnia astandesi królewscy roznieśli do wszystkich prowincyj wyrok następującej treści:

„Król wielki Achaszwerosz, od Indyj do Ethyopii, sto dwadzieścia i siedem krain przełożonym i książętom, którzy są pod jego panowaniem, zdrowia.

„Gdyż nad bardzo wielu narodów panuję i wszystkiem świat podbił pod moc swoją, nie chciałem jednak źle używać wielkości mocy, ale łaskawością i łagodnością sprawować poddane, aby bez żadnego strachu żywot spokojnie wiodąc, pokoju, którego wszyscy ludzie pragną, używali. Ale gdym się pytał rad moich, jakoby się to wypełnić mogło, jeden z nich, który mądrością i wiernością inne przechodził i był po królu wtóry, imieniem Haman, oznajmił mi, że jest lud po wszystkim świecie rozproszony, który nowych praw używa, i przeciwko wszech narodów zwyczajowi czyniąc, królewskim rozkazaniem gardzi i zgo-

[1]) Kontrybucyi.

dę wszech narodów swoją niezgodą targa. Czego gdyśmy się dowiedzieli, widząc, że jeden naród odporny przeciwko wszemu rodzajowi ludzkiemu przewrotnych praw używa, a naszemu się rozkazaniu sprzeciwia, a pokój i zgodę krain nam poddanych targa, rozkazaliśmy, aby któregokolwiek Haman (który nad wszystkiemi krainami jest przełożony i wtóry po królu i którego na miejscu ojca czcimy) pokaże, z żonami i z dziećmi od nieprzyjaciół swych byli wygładzeni, ażeby się żaden ich nie użałował, czternastego dnia dwunastego miesiąca Adar, roku niniejszego, aby złośliwi ludzie jednego dnia stąpiwszy do piekła, przywrócili królestwu naszemu pokój, który byli zgwałcili..."

XVII.

Aminadab powrócił z dalekiej podróży.

Nowe wrażenia, liczne zajęcia wpłynęły znakomicie na równowagę jego umysłu. We wszystkich miastach odwiedzał rodaków, gorąco zachęcał ich do wytrwania w miłości ojczyzny, wykazywał, że niewola musi się skończyć, że nadejdzie chwila, kiedy wrócą do utraconej Jerozolimy.

Widok tych nieszczęśliwych, rozproszonych po wszystkich prowincyach państw Achszawerosza i Nabuchodonozora, ich nędza, łzy i jęki, rozpalił w nim nanowo przygasłą już nieco miłość utraconego kraju i wolności i zatarł nieco namiętność do Hadassath.

Ale zato coraz częściej stawał mu przed oczyma obraz Sarwii.

Jasnowidząca ukazała mu ją w ogrodzie, w krzewie mangli, w postaci tak ponętnej, że często widział ją taką w snach, albo i na jawie podczas nocy bezsennych. Niekiedy bronił się tym myślom, które mu tylko serce krwawiły, bo wiedział, że Sarwia jest już kapłanką Athary i życie całe w jej świątyni przepędzi, ale częściej puszczał wodze wyobraźni i było mu przyjemnie i boleśnie.

Gdy jednak zetknął się z rodakami, zapominał o niej. Serce jego wtenczas wypełniała miłość nieszczęsnej ojczyzny, chęć służenia jej, poświęcenia na jej usługi wszystkiego, cokolwiek miał i mógł mieć. Wspierał też biedniejszych rodaków, wtajemniczał się we wszystkie ich potrzeby, badał, czy marzą o powrocie do kraju swego, zbierał wiadomości i szerzył nienawiść do pogan.

Słońce już zaszło i na basztach pałacu królewskiego wywołano pierwsze godziny wieczorne, gdy stanął na dziedzińcu swego domu.

Mardochai i Sara ucieszyli się niezmiernie.

Opowiadał im przy wieczerzy o różnych przygodach, jakich miał pełno w podróży, opisywał kraje i morze, dowiedział się też o wywyższeniu Hamana i zatargach, jakie miał z nim Mardochai.

Poszedł na spoczynek szczęśliwy.

Pod własnym dachem, obok kochających go serc spał twardo, spokojnie, nie myśląc o jutrze.

A tymczasem to jutro miało mu przynieść straszne i dziwne wieści.

Marzenia senne odpowiadały szczęśliwym uczuciom kilku przeszłych dni. Widział się we śnie na pięknym, złotym okręcie, który płynął po szerokiem morzu. Obok niego stała Sarwia taka, jaką widział

ostatni raz w krzaku mangli. Okręt zbliżał się do brzegu, umajonego zielonemi gajami; na brzegu stały nieprzeliczone tłumy rodaków, wyciągały do niego ręce, wydawały okrzyki radosne, a na wzgórzach widniało Jeruzalem, piękne, wspaniałe, w złotych blaskach słońca skąpane.

Dzień już był, gdy się obudził.

Po kąpieli i śniadaniu wyszedł na miasto, by zobaczyć się z Aszerem i zdać mu sprawę ze swych czynności handlowych.

Poranek był cudny.

Tłumy snuły się po ulicach wesołe, gwarliwe... Aminadab dostroił się do tego gwaru; powietrze przyjemne wpływało na to; czuł się szczęśliwym.

Szedł więc uśmiechnięty, robiąc różne uwagi o przechodniach.

Ale na skręcie ulicy zatrzymał się.

Stał tu zbity tłum ludzi i wpatrywał się w zawieszoną na ścianie tablicę, z której pisarz coś głośno czytał.

Aminadab przysunął się, jak mógł najbliżej, i zaczął śledzić pismo.

Był to wyrok zagłady żydów.

Wiadomość ta była tak straszna i tak nieprzewidziana, że Aminadab nie wiedział, co się stało...

Zniknęły mu z przed oczu tłumy, na słońce padła czarna zasłona, potem zaczęły domy, drzewa i mury piekielny jakiś taniec... Schwycił się oburęcz wystającego gzemsu i stał przez chwilę, oszołomiony, jakby go kto obuchem w głowę uderzył.

Ale wnet opanowała go straszna wściekłość; zacisnął pięście, zgrzytnął zębami i przeraźliwym głosem zaczął wołać:

— Gdzie tu sprawiedliwość? Co złego uczy-

nił ten naród? Powiedzcie, czem zasłużył na zagładę?

Wszyscy spojrzeli nań ze zdumieniem, a on wołał:

— Pytam was, powiedzcie, jaka wina ciąży na tym narodzie? Za co mają zabijać jego męże, jego żony, jego dzieci, jego starców?

Tłum coraz więcej go otaczał, a on wołał:

— Niesprawiedliwość dzieje się w państwie i pod powagą króla Achaszwerosza; niesprawiedliwość, jakiej nie było pod słońcem; niesprawiedliwość, jaką tylko zbójcy uczynić mogą.

— Cóż ciebie to może obchodzić, młodzieńcze?— zapytał stojący przy nim starzec.

— A ty cieszyłbyś się, gdyby cię skazano na śmierć?

— Tyś z tego narodu?

— Nie inaczej; jeńcem uwieziono mnie z Jerozolimy, zabito mi ojca, zamęczono matkę, a teraz mnie zabiją tylko zato, że jestem hebrajczykiem.

— Przekleństwo hebrajczykom! — krzyknął ktoś z tłumu.

— Bądźcie przeklęci wy, co wydajecie wyroki niesprawiedliwe!—zawołał Aminadab.

— Cicho bądź, ty niewolniku!

— Raczej ty zamknij gębę, synu zbójecki!

— Uciesz się, młodzieńcze — rzekł ten sam starzec — bo mogą być między nami „oczy" królewskie i zobaczą cię, mogą być „uszy" i poniosą mu słowa, które z ust twoich wychodzą.

— Nie lękam się ich, nie lękam się króla waszego, który jest zbójcą prawdziwym, nie lękam się Hamana, który jest podłym zdrajcą, zaprzańcem swego narodu!

— Przestań, nieszczęsny—wołano z tłumu.

— Przekleństwo wam, poganie!

— Czyż chcesz, ażeby cię wrzucono do dołu dzikich świń?

— Pożryjcie mnie, psy pogańskie, poszarpcie mnie w kawałki, tygrysy, ale ja wołać nie przestanę, że wasz król morderca niewinnych.

W tłumie zakotłowało; powstał wrzask okropny; zjawili się żołnierze.

— Uciekaj, chłopcze—zawołał starzec—bo oto „oczy i uszy" królewskie przychodzą wydać cię w ręce żołnierzy i zginiesz.

Ale już było zapóźno. Otoczono go zbitym pierścieniem; dziesiątki rąk wyciągnęły się ku niemu i powalono go na ziemię.

Czekała go śmierć okrutna, bo zwolennicy Hamana wołali:

— Zabić zuchwalca! Śmierć psu hebrajskiemu! Rzucać nań kamienie!

Aminadab nie poddał się dobrowolnie; bronił się pięściami i nogami, gryzł zębami. Chciał umrzeć jak żołnierz, żałował, że nie położy trupem choć jednego z napastników.

Wkrótce jednak był związany, a rozgniewani poganie byliby go podeptali nogami.

Ale nagle wpadła między tłumy jasnowidząca; z nadzwyczajną siłą odepchnęła żołnierzy, wskoczyła na leżącego Aminadaba i podniósłszy ręce do góry wołała:

— Jestem służebnicą bogów, których wolę wam ogłaszam. Młodzieniec ten jest niewolnikiem mojej świątyni, do mnie więc należy. Dajcie mi go, a ja go sama ukarzę. Jego krew potrzebna mi, jego serce wydarte z piersi będzie służyło mi do trucia jego rodaków. Niech zginie przeklęty naród Hebreów!

— Niech zginie!—powtórzyły tłumy.

— Niech błogosławiony będzie król Achaszwerosz!

— Niech żyje wiecznie!

— Cześć Hamanowi, który jest drugi po królu!

— Niech będzie szczęśliwy!

— A teraz dajcie mi osła, abym powiozła tego głupca przed surowe oblicze kapłanów.

— Mądrze mówi jasnowidząca. Przekleństwo hebrejczykowi!

Zatrzymano jednego z wieśniaków, który wiózł na ośle warzywa do pałacu, włożono Aminadaba na miejsce warzyw i przeprowadzono wśród przekleństw i złorzeczeń.

Przed namiotem Iddiny stał Zammamanaddin.

— Bądź pozdrowiona, jasnowidząca! — zawołał.

— Cześć ci, dostojny panie — odrzekła i kazała zatrzymać osła.

Przystąpiła do Zammamanaddina.

— Wiozę młodzieńca, który urągał królowi, aby ukarać go za to w świątyni, ale temu człowiekowi śpieszy się na targ...

Spojrzała na wieśniaka, który zawołał:

— Prawdę mówi, muszę się śpieszyć, bo mam dwie parasangi jechać do domu...

— Zabierz więc, dostojny panie, zbrodniarza do namiotu, a ja przyślę tu sługi świątyni... Jest to Aminadab—dodała ciszej.

Zammamanaddin zrozumiał, że chodzi jej o ocalenie młodzieńca. Zwrócił się więc do tłumu:

— Dobrze, dajcie mi tego łotra, który zasłużył na śmierć. Mam ja dla niego lepsze miejsce, niż ten namiot. Wsadzę go do świń, niech z niemi używa, skoro na to zasłużył.

Zdjęto Aminadaba z osła, rozpętano mu nogi i oddano Zammamanaddinowi, który go zaprowadził do jego domu.

— Co się stało? — zapytał, gdy odźwierny zamknął za nimi drzwi.

— Przedewszystkiem rozwiąż mi ręce!

Pod sykomorem przy studni siedział Mardochai.

Był zupełnie zmieniony.

Przystąpili do niego, ale ich nie widział. Patrzył przed siebie błędnym wzrokiem bez żadnego ruchu, jak posąg.

— Abbi—rzekł Aminadab—słyszałeś?

Otrząsnął się, spojrzał na niego, chwilę patrzył, potem jęknął głośno i rzekł:

— Słyszałem, benni, w pałacu wszyscy o tem mówią.

— Nieszczęście!

— Biada, benni! Echach!

— Przekleństwo im!

— Oby ich Namtar wziął w swoje uściski!—zawołał Zammamanaddin.

Zapanowało milczenie, które przerwał Aminadab.

— I co teraz będzie, abbi Mardochai?

Mardochai patrzył na niego i po długiem milczeniu zapytał:

— Co będzie, benni Aminadabie?

— Trzeba radzić.

— Cóż radzić?

— Nie wiem, co radzić, ale wiem, że płacze i jęki nie pomogą.

— Pięknie mówisz, chłopcze, ale źle robisz — rzekł Zammamanaddin—bo żeby nie jasnowidząca, pewniebyś już nie żył.

— Tybyś tak samo zrobił?

— Być może, jednak tego nie chwalę.

— Cóż myślisz?

— Cóż mam myśleć? Macie tyle miesięcy do namysłu, że nie potrzebuję dawać wam wskazówek. Namyślimy się. Idę zaraz do Charszny. Na Isztar Niniwską, gdzie się podziała sprawiedliwość? On popsuje zamiary tego łotra Hamana.

— Zapominasz, Zammamanaddinie, że tu nietylko Charszna, ale i sam Achaszwerosz nic nie pomoże—rzekł Mardochai.

— Tak sądzisz?

— Nie inaczej.

— A to czemu?

— Wiesz przecie, że król nie może zmienić raz ogłoszonych wyroków.

— To bardzo głupie prawo! — zawołał Aminadab.

— Głupie, ale go nie zmienisz.

— Więc co będzie? — zapytał Zammamanaddin.

— Nie dajmy się tym psom perskim! — rzekł Aminadab.

— Powiedziałeś głupie słowo, benni — szepnął Mardochai.

— Może i głupie, ale mądrzejszego nawet ty, abbi, nie wymyślisz. Bo i jakże może być inaczej. Mamyż poddać się bez oporu, jak barany? Mają nas męczyć, jak zbrodniarzy? Nie, tego nie będzie. Staniemy przeciw nim z nożami i bić się będziemy, jak dzielni żołnierze, jak nasi praojcowie się bili. Chcą nas wytępić? dobrze; utłuczemy kilkadziesiąt tysięcy Persów, niech płaczą po naszej zgubie.

— Dobrze mówisz, chłopcze—krzyknął Zammamanaddin uradowany, jakby rzeczywiście miał się z czego cieszyć — niech uszczupli się to paskudztwo.

Niech Allat raduje się ich obecnością. Niech Namtar ich zdusi tych psów! Dobrze mówisz!

Wieczorem jeszcze było gwarno w domu Aminadaba.

Zebrani wszyscy znakomitsi Hebreowie z całej Suzy radzili wśród płaczu, przekleństw i narzekania. Podarte szaty, podrapane twarze, rozczochrane włosy na głowach i brodach, chrapliwe i krzykliwe głosy były widomym obrazem ich wewnętrznego stanu.

Niegodziwy wyrok potargał wszystkie nici, po których snuło się ich życie i ich nadzieje,

— Płacze i krzyki nic nam nie pomogą!—wołał Aminadab.

— A cóż nam pomoże?

Krzyki nieco przycichły, a Aminadab myślał, co naprawdę mogłoby im dopomódz. Gdy mówił o walce, o obronie, oburzano się na niego, nazywano mowę jego niedorzecznością, więc nie wiedział, co powiedzieć. Wreszcie rzekł:

— Robić starania u dworu o zmianę wyroku.

— Wiesz przecie, że wyroki króla są nieodwołalne.

— Pieniądze mogą zmienić wyrok.

— Próbujmy więc pieniędzy.

Mardochai machnął ręką.

— Powiadam, że nic nie pomoże. Haman dawał do skarbu królewskiego piszkasz dziesięć tysięcy talentów srebra, a da jeszcze więcej, aby nas zgubić...

— Więc przysposobić noże i bronić życia — zawołał Aminadab.—Mamy przecie dużo czasu, możemy się przygotować.

— Dajże już raz spokój z nożami — wtrącił Aszer.

— Wolisz umierać pod nożem pogańskim, jak baran, niż bronić się do upadłego?

— Jeżeli staniemy przeciw nim z nożami, będą nas męczyli.

— Wszystko to jedno; niech męczą. Ale jakże przyjemnie umierać, gdy się przedtem kilku pogan uprzątnie!

— Łatwo to mówić.

— Przecież lżej umierać, gdy mam w sercu złość, niż gdy jestem bezbronny i widzę niesprawiedliwość, a nie mszczę się zato.

— Zkąd jednak u Hamana wzięła się taka nienawiść ku nam?—wtrącił Obededom.

— Wstydzi się swego pochodzenia.

— Ale głównie chodzi mu o Mardochai — rzekł Aszer.

— Źle zrobiłeś, abbi — zawołał Aminadab — żeś wydał spisek przeciw królowi; niechby był zdechł.

— Prawda to—zawołano.

Ale Mardochai pokręcił głową i rzekł:

— Zostałby Haman, a on przecie nasz wróg.

— Jednakże ten król, którego dobroć głoszą pochlebcy, powinien pamiętać o tem, żeś mu życie ocalił, abbi!

— Mój drogi, przecieżeś ty zbójców wytropił, a i ciebie zabiją.

— A tyś dał mu Hadassath i zginiesz razem z nią.

— Hola! — krzyknął Aszer — zapomnieliśmy o Esterze, królowej. Do niej należy udać się po ratunek.

— Nikt przecie nie wie, że ona Hebrejka.

— Niech się przyzna.

Wszyscy czekali na Mardochai, czekając, co powie. Ale on westchnął i rzekł:

— Sama zginie, a nam nic nie dopomoże.

Nastało milczenie, a Mardochai mówił powoli:

— Haman potężny. On dyszy nienawiścią ku mnie, chce mnie zgładzić; nie cofnął się przed uknuciem tak strasznego wyroku, przed niczem się nie cofnie. A gdy się dowie, że królowa jest moją synowicą, gniew jego obróci się przeciw niej; ją najpierw zgładzi, a potem nam nie przepuści.

— Cóż więc będziemy robili? — zapytał Izacher.

— Pan potężny jest—mówił Mardochai—jeżeli postanowił, że mamy zginąć, to zginąć musimy, żadna obrona nas nie uratuje; ale jeżeli inaczej ułożone są jego wyroki, to tysiące Hamanów nic nam nie zaszkodzą.

Westchnienie gorącej modlitwy wyrwało się ze wszystkich piersi. Ucichli wszyscy, tylko usta pojedyncze szeptały:

„Boże! wysłuchaj modlitwę moją; przyjmij w uszy słowa ust moich. Albowiem obcy powstali przeciwko mnie, a mocarze szukali duszy mojej..." [1])

Po chwili Mardochai mówił dalej:

— Nie myślę ja oszczędzać Estery, pójdę do niej i zażądam, aby przebłagała króla, a jeżeli jej prośba nic nie pomoże, myślę przygotować się na ów straszny dzień.

— Z nożami?—krzyknął Aminadab.

— Juścić nie pójdę na szubienicę dobrowolnie; bronić się będę i wszystkich do tego wezwę.

---

[1]) Psalm 53.

Aminadab rzucił mu się na szyję.
— Drogi, kochany abbi!

XVIII.

Ester siedziała zamyślona pod kopułą swej sali; jej piękne oczy patrzyły smutno w dal na ponure cyprysy i ciemne cedry, stojące cicho, poważnie na tarasach Apadany.

Snuła myśli niewesołe.

Życie haremowe otoczyło ją siecią nudy, poniżenia i tęsknoty. Zaznała już całej jego goryczy i tęskniła do swobody, do rodaków, do Mardochai.

Myślała o słowach Hegai, który ją ostrzegał, aby podnosiła urok swych wdzięków, aby zachowała urodę, bo będzie kwiatem dla swego pana, zajmującym go dopóty, dopóki nie zaczną opadać listki świeżości. A może już świeżość niknie, może lato rozkwitu jej przemija, może zobojętniała dla swego władcy i pójdzie w kąt, jak sprzęt zużyty?

Nie wzywano jej do łożnicy królewskiej już od dni trzydziestu; może nie wezwą nigdy? A potem co? Czem się skończy dla niej to życie? Może śmiercią gwałtowną, albo wypędzeniem?

Niechby ją wypędzono; wcaleby tego nie żałowała. Miałaby wśród swoich serca prawdziwie życzliwe, któreby otoczyły ją miłością i którym oddałaby się też całkowicie. A tu nie ma prawdziwych przyjaciół. Sparetra tylko kocha ją szczerze, i Athach

dałby się za nią porąbać. Reszta, to obłudnicy, którym zaufać nie można. Nawet te dziewczyny, które tak wesoło biegają po dachu i, zdaje się, zapomniały o całym świecie, nie są w gruncie tak niewinne.

Harem je popsuł.

Patrzyła teraz na nie i poniekąd zazdrościła im tej wesołości, z jaką oddawały się zabawie.

Nagle wszystkie zbiegły na krawędź dachu, skupiły się przy okrągłym otworze, z którego widać było podwórze Birunu i ze zdziwieniem spoglądały.

Przywołała Sparetrę.

— Cóż tam widać?—zapytała.

— To jakiś człowiek, odziany workiem, woła: „naród ginie!"

Zaniepokoiła się.

Musiała się stać jakaś niesprawiedliwość i pokrzywdzeni przyszli ze skargą do króla. Ale czy otrzymają sprawiedliwość? Satrapowie są podli ludzie, a przy dworze też nie lepsi.

Zmarszczyła brwi i rzekła:

— Jeden tylko?

— Otacza go mnóstwo ludzi, ale to pewnie ciekawi tylko, choć niektórzy płaczą.

Po schodach z wnętrza sali wbiegł Athach. Ucałował ziemię przed stopami swej pani i, schylony, czekał na zapytanie.

— Dobrą wieść mi niesiesz, Athachu?

— Chciałbym, o cudna Astlik [1]), najlepsze wieści słać u stóp twoich...

I zamilkł.

— Mów śmiało, Athachu!

— O, najpiękniejsza córko Haldii [2]), Athach nie

---

[1]) Astlik—bogini gwiazd w Armenii.
[2]) Haldia—bóg księżyca w Armenii.

chciałby obrażać uszu twoich złemi wieściami, ale stało się coś strasznego.

Królowa pobladła. Złe przeczucie wionęło do jej duszy, jak strumień dusznego wiatru.

Oddaliła Sparetrę i rzekła:

— Mów!

— Mardochai, odziany worem, woła: „naród ginie!"

Zacisnęła kurczowo pięści. Czuła, że gdyby chciała powstać, nie mogłaby.

— Cóż mu się stało?—wyszeptała.

— Rozkaż, pani, pójść słudze twemu, a pójdę i zapytam i przyniosę ci prędko odpowiedź dostojnego Mardochai.

— Proś go, aby nie stał przed bramą, gdzie tylu ludzi patrzy na poniżenie jego, ale niech wnijdzie do pałacu.

— Nie ma szat dostojeństwa swego, tylko wór pokutny, w którym wchodzić do pałacu nie wolno.

— Zanieś mu więc szaty potrzebne, niech uni knie pośmiewiska ludu.

Athach poszedł, a królowa zalała się łzami.

Spostrzegła to Sparetra, przybiegła do niej, przytuliła się do jej łona i szeptała:

— Pani moja, matko moja, nie smuć się.

Ester zaniosła się teraz głośnym płaczem, ale wnet zdusiła go w sobie i rzekła:

— Tam nieszczęśliwy narzeka.

— Iluż to ich w tej chwili narzeka; nie starczyłoby łez, gdybyśmy nad każdym nieszczęśliwym płakały.

— Prawdę mówisz, moje dziecię, ale gdy patrzymy na niedolę ludzką, to żal nam serca wzbiera.

— Za dobra jesteś, o pani!

— Bóg jest tylko dobry, a ludzie wszyscy grzeszni...

— Prawda, Bóg jest dobry, niech więc się tym nieszczęśliwym zaopiekuje, a ty, o pani, uśmiechnij się.

Królowej przyszła teraz myśl, za co Pan Bóg ich tak doświadcza. Ale odpędziła ją zaraz i pomyślała, że ma pewnie słuszność, lecz gdy przyjdzie czas, okaże miłosierdzie — i modliła się o tę chwilę zmiłowania.

Tymczasem Athach wrócił i Sparetra oddaliła się.

— Pani, wzgardził szatą twoją.

— Nie chciał przyjąć?

— Nie chciał mnie słuchać, tylko wołał: „naród ginie!"

— Ale cóż mu się stało?

Athach podał jej papyrus.

— Kazał ci to oddać—rzekł.

Ester zaczęła czytać. Była to kopia wyroku.

Gdy skończyła, Athach rzekł:

— Wszyscy Hebreowie płaczą w Suzie, bo zgładzeni będą.

— Naród niewinny ginie—wyszeptała jakby do siebie.

Athach się obejrzał i, nachyliwszy się prawie do ucha Estery, mówił:

— To Haman uczynił. On nienawidzi dostojnego Mardochai, nie mógł go zgubić, więc gubi cały naród.

— Ależ to szatański pomysł!

— Bo też Haman, to prawdziwy zły duch.

Ester upuściła papyrus i siedziała, jakby skamieniała, a Athach mówił pocichu:

— Jabym go zabił, o pani.

— Kogobyś zabił?

— Tego Hamana, bo on jeszcze może i króla usunąć i sam zasiąść na tronie, ale to wyroku nie zmieni.

Królowa patrzyła na niego przestraszona.

— Mardochai powiedział—mówił dalej Athach— abyś poszła, o pani, do króla i prosiła o zmiłowanie dla narodu.

— Jakże ja to mogę zrobić? Przecież wiesz i ty, i Mardochai, i wszyscy wiedzą, że nikt nie może wchodzić do króla, jeżeli nie zostanie zawezwany.

Athach patrzył na nią błagalnie.

— Nie gniewaj się, o Haldio!—szepnął.

— Nie gniewam się, ale sam powiedz, pójdę do króla, a król się rozgniewa, ukarze mnie śmiercią i nic narodowi nie pomogę.

Oczy zaiskrzyły się rzezańcowi; wyciągnął przed siebie zaciśnięte pięści, jakby groził królowej, i przez zaciśnięte zęby mruczał:

— Zabiję tego Hamana, a potem bronić będę mojej pani.

A królowa rzekła:

— Idź i powiedz Mardochai, że ratować go chcę, ale nie mogę.

Przywołała Sparetrę i zeszła do ogrodu pod cienie sykomorów, nad brzegi wodospadów.

Usiadła w najskrytszym kątku, zakryła twarz w dłonie i dumała.

Przy niej siedziała Sparetra i cicho płakała.

Niebawem wrócił Athach.

— Jego dostojność nie chciał mnie słuchać, ale napisał na tabliczce, co ma uczynić pani moja.

Podał jej deseczkę, na której Mardochai napisał po hebrajsku:

„Boisz się o siebie. Nie mniemaj, abyś tylko duszę swoją wyzwoliła mimo wszystkie żydy, iżeś jest w domu królewskim; bo jeśli milczeć będziesz, innym sposobem będą wybawieni żydzi, a ty i dom ojca twego zginiecie. A kto wie, czyś nie dlatego dostąpiła królestwa, abyś na taki czas przydała się."

— Grozi mi — pomyślała — ale cóż ja zrobię? Jam słaba niewiasta, co powiem memu panu? Jakie słowa włożę w uszy jego, aby mnie wysłuchał?

I zaczęła szlochać; pomagała jej Sparetra, i Athach łzy ocierał.

A dokoła była cisza uroczysta, tylko szemrały kaskady. Cyprysy patrzyły z wysoka na smutek żony królewskiej, a sykomory osłaniały ję przez wzmagającym się skwarem.

Zbliżało się południe.

— Athach! — rzekła Ester, ocierając łzy.

— Mów pani, bo słucha cię sługa twój.

— Idź jeszcze raz do Mardochai i powiedz mu, niech zgromadzi wszystkich Hebreów, którzy są w Suzie, niech poszczą i modlą się przez trzy dni, aby Bóg nasz odmienił serce króla, i pójdę do niego i prosić będę za naród mój.

I znów ukryła twarz w dłoniach.

Iść do króla bez wezwania, to śmierć pewna. Mniejsza zresztą o to, byle przynieść ludowi zbawienie, jak nic nie pomoże?

— Boże nasz, dodaj mi sił, naucz, co mam czynić.

Wstała, poszła do swej sypialni i modliła się bez przerwy aż do dnia trzeciego.

Po trzech dniach przerwała modły.

Wykąpała się w wodzie zmieszanej z olejkiem różanym i namaściła ciało wonnościami.

Niewolnice krzątały się wokoło niej. Ubrały ją we wspaniałą, fałdowaną szatę, opasały jej biodra drogim pasem emaliowanym, w uszy włożyły ciężkie zausznice złote, na ręce i nogi takież bransolety. Naszyjnik z drogich kamieni zdobił piersi.

Królowa modliła się jeszcze, a gdy ubieranie skończono, wsunęła nogi w purpurowe, złotem tkane sandałki, na głowę włożyła przecudny dyadem, od którego zwieszała się długa zasłona, złotem przetykana, a niewolnice zarzuciły jej na ramiona szkarłatny płaszcz długi, podbity futrem bobrowem.

Tak ubrana poszła do Birunu [1]).

Sparetra podtrzymywała jej ramię, a Rawakithah postępowała z tyłu, niosąc koniec płaszcza.

Służba pałacowa dziwiła się temu niezwykłemu pochodowi królowej.

A ona przeszła przez bramy Anderunu [2]), korytarze i przedsionki, przez wiele drzwi i—stanęła wreszcie na progu sali tronowej.

Serce zabiło jej gwałtownie; oparła się mocno o ramię Sparetry.

Sala tronowa była wielka. Sufit spoczywał na trzydziestu sześciu kolumnach marmurowych. Kolumny były bardzo wysokie, podobne u góry do wywróconego kielicha na wysokim słupie, upiększonym w rowki; każda kolumna kończyła się dwiema przedniemi częściami postaci byków, między któremi spoczywały belki cedrowe.

W ścianach były drzwi do bocznych pokojów, w górze zaś mnóstwo okien i nisz, w których stały posągi.

---

[1]) Birun, część pałacu, gdzie mieszkał król.
[2]) Anderun—gdzie mieścił się harem.

Król siedział na tronie w pięknej szacie purpurowej, błyszczący od złota i drogich kamieni.

Na głowie miał nizki, okrągły kapelusz z nieco wystającym górnym brzegiem; w uszach lśniły zausznice, na piersiach zaś złoty łańcuch; w prawej ręce trzymał długą laskę złotą, w lewej kwiat,

Nogi, obute w safianowe trzewiki, spoczywały na podnóżku.

Tron stanowiło wysokie siedzenie, wysłane kobiercem i duszką; z tyłu siedzenia była poręcz, sięgająca aż do głowy królewskiej; siedzenie to spoczywało na kilku leżących na sobie poduszkach, wspartych na czterech lwich łapach; łapy zaś stały na poduszce, wydętej w kształcie dzwonu.

Tron stał na rusztowaniu, którego cztery nogi podobne były do nóg tronowych.

Wspaniały baldachim z drogiej purpury rozciągał się nad całem rusztowaniem. Na środku baldachimu wyhaftowany był złotem krąg słoneczny ze skrzydłami, jako symbol bóstwa, a po bokach byki i lwy; z góry zaś i dołu szła obwódka z rozet, a niżej wisiały frendzle.

Z obu stron tronu, nieco z boku, klęczało dwóch niewolników. Jeden trzymał w ręku naczynie z pachnącym olejkiem i białą chustkę. Zadaniem jego było pokrzepiać od czasu do czasu powonienie królewskie. Drugi na stojące przed królem kadzielnice metalowe, w rodzaju ołtarzy, sypał z koszyczka wonności.

Obok tronu stali łuko i strzałonóżka królewscy, a przy nich siedmiu książąt medyjskich i perskich, którzy „patrzyli na oblicze królewskie i pierwsi po nim zwykli byli siadać."

Zwartym szeregiem pod ścianami stali gholamo-

wie [1]) z jednej strony pięćdziesięciu w purpurowych i żółtych szatach, a naprzeciw tyluż łuczników w ubiorach błękitnych, ognistych i szkarłatnych.

Królowa oniemiała z podziwu. Majestat monarchy był tak wielki, że omało nie upadła pod wrażeniem.

Odźwierni struchleli na jej widok; zatrzymywać jej nie śmieli, przytem było już za późno, bo królowa przekroczyła próg sali.

Posłańcy, których obowiązkiem było zanosić prośby o posłuchanie, stanęli w osłupieniu.

Sam chiliorch [2]) zgłupiał.

Zapanowała cisza złowroga; przerwano jakieś posłuchanie i wszyscy zdumieni patrzyli na królowę. A ona widziała niejako miecz wiszący nad głową; drżała na całem ciele; twarz trupio bladą zwróciła do króla i utkwiła w jego surowe oblicze błagalny wzrok; oczy jej szkliły perłami łez i wymowniej świadczyły o jej prośbie, niżeli najpiękniejsze słowa.

Król jednak nie rozumiał tej niemej prośby, poruszył się niespokojnie i zmarszczył groźnie brwi, a królowa upadła zemdlona w objęcia Sparetry.

Zrobiło się zamieszanie.

Król zbiegł prędko z wysokości tronu, pochwycił ją w objęcia i drżącym głosem mówił:

— Estero, królowo, nie bój się! Co ci się stało, czegoś się tak przelękła?

Charszna wyrwał z rąk niewolnika naczynie z pachnącemi olejkami i zaczął oblewać niemi królowę, a król wołał:

---

[1]) Żołnierze przyboczni.
[2]) Kanclerz.

— Gdzie Perykles? Wołajcie Peryklesa!

Przybiegł lekarz grecki, podsunął jej małe naczynie pod nos i otworzyła oczy; potem dał jej pić jakiś płyn i głęboko odetchnęła.

— Czego chciałaś, Ester?—zapytał król, ale ona drżała na całem ciele.

— Nie lękaj się, nie umrzesz. Prawo nie odnosi się do ciebie.

— Panie, daruj, żem przyszła niewołana.

— Ależ nie bój się, dotknij się berła i proś, o co chcesz, a wszystko ci uczynię.

Podniósł laskę złotą i dotknął jej szyi.

Ester przyłożyła usta do berła, a król tulił ją do piersi i całował jej czoło, oczy i usta. Potem włożył jej laskę do ręki i wołał:

— Ester, królowo, jesteś moją siostrą i towarzyszką, a jam ci bratem[1]). Bądź mężną.

— Panie!—szepnęła.—Nie ukarzesz mnie zato, żem ośmieliła się przyjść niewzywana?

— Mówię ci, że nie umrzesz. Prawo dla ciebie jest takie, jak dla mnie, niema więc prawa przeciw tobie. Oto berło w ręku twojem.

— Dziękuję ci, o panie!

Król zaczął głaskać ją po twarzy.

— Powiedz, jaką masz prośbę?

Ale ona zaczęła płakać i powoli mówiła:

— „Ujrzałam cię, o panie, jako anioła Bożego, i strwożyło się serce moje dla bojaźni chwały twojej. Albowiemeś cudny, panie, a oblicze twoje pełne jest wdzięczności."

---

[1]) Królowie perscy żenili się z siostrami, a więc na żonę mówiono siostra.

I urwała.

Zaniosła się gwałtownem, prawie konwulsyjnem szlochaniem.

Krol się zaniepokoił. Otoczyli ją wszyscy książęta i błagali, aby się uspokoiła.

Wreszcie król rzekł:

— Czego żądasz odemnie, dziedziczko moja? Proś, o co chcesz, połowę królestwa ci oddam, jeżeli tego zażądasz.

Przez głowę jej przebiegła myśl upaść przed nim na twarz i zawołać:

— Daj wolność mojemu narodowi! Wróć mi ojczyznę wolną i niepodległą!

Ale się powstrzymała:

Nikt nie wiedział o jej pochodzeniu, nikt nie przypuszczał, że jest córką narodu wzgardzonego, skazanego na zagładę. Ta prośba więc może być przyjęta szyderstwem; może król rozgniewać się i wypędzić ją, jak wypędził Wasthi.

Więc rzekła:

— Jeśli się królowi, panu mojemu, podoba, proszę, ażebyś dziś przyszedł do mnie i Haman z tobą na ucztę, którą przygotowałam.

Król się zdziwił.

— Taka tylko jest twoja prośba?

— Taka.

— Ależ przyjdę, dziecię moje, i Haman będzie ze mną.

W parę godzin później siedział król na tarasie domu Estery pod wielką kopułą z zielonych liści. Dokoła tarasu płynęła woda w marmurowem wyżłobieniu, chłodząc powietrze.

Olbrzymie platany stały w grupach malowniczych, a niezliczone mnóstwo róż roznosiło silny zapach, zmieszany z woniejącemi wyziewami drzew pa-

czulowych, które tu rosły obficie. W nieprzejrzanych szeregach drzew i kępach krzewów rzucały się w oko klerodendrony, okryte pachnącemi kwiatami i drzewa styraksowe.

Z tarasu widać było olbrzymi staw, nad którego lśniącą powierzchnią wystawały wysoko lilie lotosowe Od stawu rozchodziły się na wszystkie strony małe kanaliki, w których szkliła przejrzysta woda, a w niej pluskały złote rybki.

Ukryta w altanie muzyka pałacowa wykonywała najpiękniejsze utwory; wtórował jej szum wodotrysku, którego tęczowy strumień wzbijał się wysoko tuż przy tarasie; pomagały mu dzikie zwierzęta, których pomruk dolatywał od czasu do czasu z dalszych przedziałów ogrodu. Gromady kakadu wrzeszczały na drzewach.

Król siedział, a raczej leżał na łożu zasłanem poduszkami i drogiemi makatami; przed nim siedziała na wysokiem krześle z poręczami królowa; nogi jej spoczywały na pięknym haftowanym podnóżku; nieco zaś z boku siedział Haman na taborecie.

W pośrodku między siedzącymi stał nizki stolik, zastawiony złotemi naczyniami.

Wino zaprawione wonnościami rozweseliło króla. A pił wiele, bo Ester skwapliwie podawała mu czarę, którą on natychmiast wychylał. Stał się więc rozmowny i sypał tłuste dowcipy dziewczętom królowej, które otaczały swą panią.

Tancerki i śpiewaczki, które wyszły z altany i kręciły się po tarasie w pociesznych podskokach, dopełniały upojenia.

Król nie mógł już dokończyć partyi szatrengów [1]),

---

[1]) Szachy.

jaką grał z królową, tylko śmiał się i klaskał w dłonie.

Z pośród tancerek wysunęli się kuglarze.

Król był zachwycony.

Spostrzegł jednak smutek i zamyślenie na twarzy królowej, która nie patrzyła nawet na sztuki kuglarzy i tancerek. Wyglądała przecież czarująco. Wewnętrzny niepokój odbił się dodatnio na jej obliczu.

Zrobiło mu się jej żal; czuł, że ma do niego jakąś wielką prośbę, której jednak nie ma śmiałości wyrazić. Aby więc dodać jej odwagi, zawołał:

— Hamanie, kończ szatrengi.

Haman spojrzał płomiennym wzrokiem na królowę i odrzekł:

— O królu, równy bogom, zaszczyt to dla mnie za wielki.

— Skoro cię królowa zaprosiła na ucztę, możesz grać z nią w szatrengi.

Haman przysunął szachownicę i szepnął:

— Czy boska Ester podziela zdanie króla?

— A któżby się jego zdaniu śmiał przeciwić?

— A więc na kogo kolej?

— Na mnie; uważaj, wasza dostojność.

— Jestem ci posłuszny, o pani, jak pies swemu władcy.

Królowa posunęła konika.

— Pies jednak swych panów nie kąsa—rzekła.

Haman podniósł rękę z latawcem, którym miał zaszachować hetmana królowej, ale opuścił ją i postawił latawca na dawnem miejscu, a wpatrzywszy się w Esterę, rzekł:

— Czyż ja kąsam swego pana?

Królowa zarumieniła się i z niecierpliwością zawołała:

— Niechże dostojność wasza posuwa!

Haman wziął napowrót latawca i zaczął się namyślać, gdzieby go postawić. Ale król przypadkiem spojrzał ku nim i spostrzegł wzrok Hamana, utkwiony w królowę, i jej zmieszanie.

A to mu się niepodobało.

Ale w tej chwili tancerki wykonały jeden z najpiękniejszych zwrotów, więc na nie zwrócił całą uwagę i wołał:

— Znakomicie, znakomicie!

— Żyj nam wiecznie!—krzyknęły tancerki.

— Baczność!—szepnął Haman, podsuwając wieżę na linię hetmana królowej.

— Masz słuszność, dostojny Hamanie—odrzekła Ester, zasłaniając hetmana pionkiem — ten wygrywa, kto czujny jest na ruchy wroga.

Haman się uśmiechnął.

— Bogini moja prawi, jak prawdziwy wódz.

— Zaciętość wroga uczy nas przezorności i umiejętności wyszukiwania środków obrony.

— Ale zkądże w tak pięknem ciele duch taki zawzięty? — rzekł Haman usuwając króla na miejsce bezpieczne.

Królowa rozdęła nozdrza i, goniąc króla Hamanowego po szachownicy, mówiła:

— Nie słyszałeś nigdy, co może zrobić niewiasta dla dobra swego narodu.

— O, tak, w słabych piersiach niewiasty mieszka niekiedy zdumiewające męztwo...

— Szach królowi!

— A to zawziętość!

— Zawzięte są niewiasty, gdy stają w obronie ginącego narodu...

— Alboż naród twój ginie, pani?

— Naród nie zginie, ale wróg jego zginie. Szach-mat!—zawołała głośno królowa.

— Zwyciężyłaś, Estero?—rzekł król.

Królowa skinęła głową.

— Zostałem pobity na głowę, gorzej niż Achemenes!—zawołał Haman.

Król objął Esterę i obsypując pocałunkami, rzekł:

— Nie daj się, moja gwiazdo, Hamanowi.

— Obym umiała go w rzeczywistej walce zwyciężyć.

Król spojrzał na nią zdziwiony.

— O czem ty myślisz?—zapytał.

Spuściła oczy i zarumieniła się mocno, a z pod długich rzęs spłynęły dwie łzy.

Zdziwienie króla wzrosło.

— Powiedzże, jaką masz prośbę do mnie? Mów śmiało i proś, o co zechcesz, a wszystko ci dam, choćbyś prosiła o połowę królestwa mego.

Ale ona milczała.

Zabrakło jej odwagi do wyznania, że jest córką narodu wzgardzonego, którego zagładę głoszą wyroki królewskie, i do oskarżenia ulubieńca królewskiego.

Co król na to powie? Co powie Haman, służebnice i rzezańcy? Jedno surowe spojrzenie króla może ją zabić. Aj, Boże ojców, zlituj się, odmień serce królewskie!...

Król, widząc jej niepokój, mówił:

— Lękasz się mnie? nic ci złego nie uczynię, mów śmiało.

Drżącym głosem odrzekła:

— Jeślim znalazła łaskę przed obliczem królewskiem, a jeśli się królowi podoba, żeby mi dał, o co żądam i prośbę moją wypełnił, niech przyjdzie

król i Haman na ucztę, którą im zgotowałam, a jutro otworzę królowi wolę moją!

Achaszwerosz teraz nie mógł wyjść z podziwienia, co królowa myśli o Hamanie. Chciałaby go zwyciężyć w prawdziwej walce, zaprasza go z królem na ucztę, co to ma znaczyć? Czyżby ten jego ulubieniec zakradał się do jego haremu? Czyżby prześladował królowę swą miłością.

Patrzył na Hamana podejrzliwie, ale ten był zbyt rozpromieniony, aby zwracać uwagę na króla.

W czułych i pełnych pochlebstw słowach dziękował królowej za zaszczyt, jakim go darzyła, wybierając go z pomiędzy wszystkich książąt, a królowi zdawało się, że i te słowa są zbyt pochlebne i wzrok zbyt płomienny.

Zacisnął pięści i postanowił w sercu straszną zemstę, gdyby jego podejrzenia miały się sprawdzić.

Tymczasem jednak tancerki rozproszyły te myśli.

Stanęły w kółko, upadły przed nim na kolana i zaśpiewały na jego cześć hymn:

„Tyś syn Ahuramazdy, jako Mitra, którego kości są jako srebro, skóra jako złoto, włosy na głowie jako szafir, tyś jest nasz król, który pośród nas przebywa. O, Ahuramazdo, daj szczęście synowi twemu, który teraz siedzi na tronie twoim! Odmłódź ciało jego na górnym świecie! Uczyń go podobnym sobie, niech jako król panuje w twoich godnościach! Daj mu siłę w jego ramionach! Król Persów i Medów, Achaszwerosz, niech żyje na wieki! Syn Ahuramazdy, Achaszwerosz, niech żyje na wieki! O, Ahuramazdo, zasłaniaj i broń go, syna twego, Achaszwerosza! Niech żyje na wieki!"

— Niech żyje na wieki! — rozległo się w ogrodzie pod tarasem.

To niewolnicy i niewolnice, których całe zastępy uwijały się po ogrodzie dla zbierania suchych liści, oczyszczania kwiatów i wogóle utrzymywania porządku, zgromadzili się pod tarasem i zaczęli wołać:

— Niech żyje na wieki!

Król uśmiechnął się łaskawie, a tłum wołał:

— Błogosławiony król, niech żyje na wieki!

Krzyk ludu zmieszał się z dźwiękami muzyki i wrzaskiem kakadu.

Słońce rzucało ostatnie promienie i król znużony dał znak, że dosyć ma zabawy.

Zniknęły tancerki, ucichła muzyka, wyszedł Haman; została tylko królowa i rzezaniec Mauman.

Król wyciągnął się na łożu i zaczął drzemać; mrok wieczorny szybko kładł się pod drzewami, a z nim chłód.

W chwilę potem przeniesiono króla do łożnicy.

Haman tymczasem wracał do siebie w otoczeniu trzystu żołnierzy straży pałacowej. W korytarzach, w ogromnym przedsionku, pod portykiem, tłumy urzędników, rzezańców, żołnierzy, słowem wszyscy, padali przed nim na twarze, lub pochylali się aż do ziemi.

Haman upojony szczęściem niósł głowę do góry; na obliczu jego igrał uśmiech nawpół szyderczy, nawpół pobłażliwy. Nagle zbladł, zadrżał, źrenice przesłonił mu wybuch szalonego gniewu.

Pod kolumną portyku siedział Mardochai, spokojny, obojętny. Nie poruszył się nawet na widok potężnego ministra, a jego oczy przysłały mu klątwę.

Haman, pomimo zbrojnego otoczenia, odwrócił głowę od tego wzroku, ale tem większa nienawiść nim szarpała.

Szedł teraz prędko, patrząc w ziemię. Przy schodach czekała nań lektyka.

Posępny wrócił do domu. Cała rozkosz przepędzonego dnia u królowej, zadowolenie z niesłychanego zaszczytu, jakim go wyróżniła, duma, jaka go z tego powodu ogarniała, wszystko gdzieś przepadło. Została natomiast złość, żądna strasznej zemsty...

W przedsionku spotkali go domownicy; żona niecierpliwie wyczekiwała, ciekawa wieści.

Ale Haman porozrzucał ozdoby i wierzchnie szaty i z jękiem upadł na łoże.

Żona jego Zosarra zdziwiła się:

— Niezadowolony jesteś z uczty?

— Mnie nic nie cieszy, milsza mi śmierć, niż życie.

— Co się stało? Małoż masz względów na dworze?

— Król nikogo nie wezwał, jeno mnie; królowa wzgardziła innemi książętami, wybrała tylko mnie. Potrzebny jestem królowi pośród wszystkich przyjaciół jego; stolica moja ponad wszystkie inne, i wszyscy mi się kłaniają. Ale dopóki patrzeć będę na Mardochai, tego przebrzydłego Hebreja, dotąd nie będę miał spokoju i niczem mi są łaski króla i królowej.

— Masz wyrok na niego. W całej Suzie płaczą żydzi; chodzą w szatach pokutnych, posypani popiołem, z podrapanemi twarzami i wzywają swego Jehowę o pomoc. Ale Jehowa im nie pomoże, zginą pod mieczem sług i przyjaciół twoich, a razem ze wszystkimi zginie i ten Mardochai.

— Ale zanim wyrok wykonam, ten Hebr drwić sobie długo będzie ze mnie.

— Jabym go zaraz zabiła.

— Gdyby jeszcze nie przychodził do pałacu, ale on umyślnie siada w sieni, kędy przechodzić muszę, i gdy wszyscy padają na ziemię, on siedzi spokojnie i uśmiecha się drwiąco; wyraźnie szydzi ze mnie.

— Niegodziwy człowiek.

Haman zerwał się z łoża i, zacisnąwszy zęby, wołał:

— Podły! pies! szakal!

Zosarra przybiegła do niego.

— Uspokój się, Hamanie, powiedz królowi o niegodziwości tego człowieka i proś, aby kazał go powiesić.

— Nie tak to łatwo.

— Dlaczego?

— Mardochai wydał zamiary Bigthana i Tharesa, a przez to ocalił życie królowi. Może więc powołać się na to, a Charszna jest za nim.

— Charszna ci zazdrości?

— Oni wszyscy mi zazdroszczą, a nawet podejrzewam, że Charszna namawia Mardochai, aby mi urągał. I inaczej być nie może. Człowiek ten przecie powinien siedzieć w kancelaryi, a Charszna pozwala mu przesiadywać w sieni pałacowej.

— I czego on tam chce?

— Alboż ja wiem? Zdaje mi się, że moi wrogowie wysyłają go tam, aby mnie drażnił.

— Jabym z nim zaraz skończyła.

— Jakim sposobem?

— Kazałabym postawić jeszcze dziś szubienicę, a jutro rano prosiłabym króla, aby kazał go powiesić.

— Boję się Charszny.

— Zanimby się Charszna dowiedział, jużby Mardochai został powieszony.

— Tak myślisz?

— I tak się stanie...

Haman zamyślił się. Projekt żony podobał mu się bardzo. Zaczął się nawet uśmiechać, a Zossara po chwili mówiła:

— Zrób tak bez długiego namysłu. Każ natychmiast stawiać szubienicę i śpij spokojnie, a jutro, gdy Mitra niebo ozłoci, pójdziesz do króla, wyjednasz wyrok i niech Charszna patrzy na swego przyjaciela.

Haman się roześmiał.

— Radbym go widzieć wtedy, gdy się o tem dowie.

— Pęknie chyba ze złości.

— Oby go Eszem-dew opętał.

— A niech szubienica będzie wysoka, ażeby ją widziano z podwórza pałacowego. Charszna będzie szedł do kancelaryi, zobaczy szubienicę, na niej wisielca, zapyta: „Kto tam wisi tak wysoko?" Odpowiedzą mu: „Mardochai."

I Zosarra padła w objęcia czcigodnego małżonka, zadowolona z pomysłu, a on obsypywał ją pieszczotami i szeptał:

— Mądra jesteś, Zosarro, mądra!

XIX.

Król zasnął po uczcie u królowej; ale spał niespokojnie.

Trapiły go sny nieprzyjemne.

Między innemi widział, że Haman wszedł do sypialni, wziął miecz ze stołu i zbliżył się do łoża. Przy nim stanęła królowa zapłakana, w tych samych szatach, w jakich przyszła do sali tronowej. Haman patrzył na nią groźnie i mówił: „Estero, kocham cię; musisz być moją żoną. Posiadam łaskę króla, wyniesiony jestem nad wszystkie książęta, ale to mało dla mnie. Chcę mieć ciebie i całe królestwo. Jego więc zabiję, a ciebie posiądę!" I podniósł miecz do góry i zwrócił wyszczerzone zęby... a król krzyknął przeraźliwie.

Przebudził się.

Zimny pot zrosił mu czoło.

Spojrzał przerażony przed siebie, ale w pokoju nie było nikogo, tylko rzezaniec Harbona drzemał na taborecie, a wierny Sarduzya leżał rozciągnięty wygodnie przy łożu.

Król wpatrywał się w swego ulubionego pokojowca, który w postawie siedzącej spał spokojnie. Mdławe światło lampy oświetlało jego profil, tylną część łoża i ponuro odbijało się od drogich materyj.

Już zasnąć nie mógł; przewracał się na łożu i myślał.

— Co skłoniło Esterę do urządzenia uczty? Czemu przyszła niewołana? Narażała się przez to na śmierć, a była tak zaniepokojona, że mdlała w rękach służebnic... Ma widocznie wielką prośbę; ale czemu prosiła Hamana? Czyżby chciała i jego przebłagać? Czyżby uważała, że bez woli Hamana nic się tu nie dzieje? Czyż zdaje się jej, że król ulega we wszystkiem Hamanowi?

— Ale co znaczyły te dziwne wyrażenia, jakie mówiła o Hamanie przy grze w szatrengi? „Obym zwyciężyła go w prawdziwej walce". Co to znaczy?

Czyby naprawdę narzucał się jej z miłością? Ale pocóż go zaprasza razem ze mną na ucztę? Zagadka, prawdziwa zagadka. Ale bo też każda kobieta jest prawdziwą zagadką, którą rozwiązać trudno. Lecz Estera to wyjątkowa kobieta...

Zresztą, co tu myśleć, jutro wyjawi mi swoją prośbę. Śpijmy więc.

Przewrócił się i chciał zasnąć. Ale myśli obsiadły go, jak rój pszczół zajadłych, i odpędziły sen.

Usiadł więc na łożu i zawołał:

— Harbona!

Rzezaniec zerwał się z taboretu i stanął przy łożu:

— Co rozkaże pan i król mój?

— Niech czytają mi roczniki!

Harbona wysunął się do sieni i powtórzył rozkaz pański chanowi gholamów.

Po chwili cicho weszli pisarze i lektorzy; weszli, upadli na twarze i ucałowali ziemię, a raczej dywan przy łożu.

— Co rozkaże czytać pan i król mój?—zapytał Harbona.

— Roczniki Suzy!

Pisarze ustawili się szeregiem; każdy trzymał parę cegiełek w ręku. Jeden zbliżył się do łoża i jednostajnym, śpiewnym głosem zaczął czytać: [1]).

„Ja Sargun, sar potężny, sar Arguny. Matka moja nie znała ojca mojego, ale rodzina moja była panującą w kraju. W mieście Aspirannu, nad Eufra-

---

[1]) Roczniki są autentyczne.

tem, poczęła mnie matka moja, zrodziła mnie w miejscu ukrytem. Położyła mnie w koszyk trzcinowy, zalała smołą pokrywkę i rzuciła do rzeki, której woda nie mogła się wedrzeć do mnie. Rzeka mnie uniosła, przyniosła mnie ona do nosiwody Akki. Nosiwoda Akki w dobroci serca swego wziął mnie. Akki, nosi woda, wychował mnie, jak własnego syna. Akki, nosiwoda, zrobił mnie ogrodnikiem. Isztar błogosławiła w mojem rzemiośle i przez lata ja ogarnęłem władzę królewską".

— O kim tu mowa?—zapytał król.

— O królu Sargunie, który prowadził wojnę z Chumbanigiem, królem Suzy.

— I jak się ta wojna skończyła?

— Sargun wypędził Elamitów z Chaldei.

— Nie ciekawa rzecz—przerwał król—weź inną cegiełkę.

Pisarz spojrzał na Harbonę, który zapytał:

— Może pan i król mój każe czytać o Chammurabi, królu suzyjskim, który znów zawojował Chaldeję i zbudował Nagar-Chammurabi? [1]).

— Niech czyta!

Pisarz zaczął:

„Chammurabi [1]), król potężny, król zastępów niezwyciężonych, król czterech okolic, król wszech władców, mocarz mocarzy, król królów, ojciec błogosławiony, potęgą boga przechodzący wszystkie narody, prawdziwy pasterz, który okazał swoją moc pośród królów, najwyższy sędzia. Wszedł on na okręty

---

[1]) Kronika ta przerobiona z opisu o Tuglat-Abalassarze, królu El-Assurze (asyryjskim).

Arwadu i zabił delfina na morzu wielkiem. Zabił wiele bawołów mocnych, samców i samice, w mieście Araziku, naprzeciw kraju Chatti, w górach Lahnani. Zabrał młode bawoły żywcem i uczynił z nich trzodę. Zabił on strzałami wieprze. Chwytał je także żywcem i posyłał do miasta swego. Zabił też sto dwadzieścia krów. Król kraju Musri [1]) przysłał mu w podarunku *namsucha* [2]) i *ummi* [3]). Rozdał on *ummi* i ptaki niebieskie swoim ludziom, których imię sławne".

Podano drugą cegiełkę, z której pisarz czytał:

„Sutruk-Nachunta, syn Chumbaniga, króla Suzy, złączył się z Merodach-Baładanem, królem Babulu, przeciw królowi Niniwy. Wyszedł on z wojskami swojemi i sprzymierzeńcami w nocy, skierował swe kroki w stronę Jathar, na granicy Elamu. Merodach-Baladan, król babiloński, podarował Sutruk-Nachuntowi, królowi Suzy, swoje berło srebrne, swój tron srebrny, swój parasol srebrny, znaki swego królestwa znacznej wagi, aby mu pomagał przeciw Sargunowi, królowi Niniwy. Sutruk Nachunta zwyciężył Asyryjczyków".

Trzeci pisarz czytał:

„Kudur-Nachunta panował w Suzie po śmierci swego ojca Sutruk-Nachunty, sprzymierzeńca Chaldejczyków przeciw Asyryi. Wonczas Sennacherib, król Assu, napadł na Medów, zabrał im kilka miast górskich warownych, które były wysoko, jako gniazda

---

[1]) Egipt.
[2]) Krokodyle.
[3]) Begemoty.

ptasie. Wonczas mieszkańcy Bet-Jakina przeszli gromadnie przez Tygrys do królestwa Elamitów pod potężną opiekę króla Suzy. Zabrali z sobą bogów, opiekunów swego królestwa w arkach świętych i zamieszkali w mieście Nagicie, w ziemi Elamitów. Sennacherib, król Niniwy, pogodził się z Kudur-Nachuntą, królem Suzy".

„W dzień śmierci Kudur-Nachuty wstąpił na tron suzyjski król Umman-Minanu, brat jego".

Nastała chwila milczenia, poczem pierwszy pisarz zaczął:

„Wonczas gdy panował w Suzie król Urtaki, w kraju Elam był wielki głód. Wielu mieszkających w Suzie wyniosło się do ziemi Assur. Tam, gościnnie przyjęci, otrzymali pożywienie na czas głodu, a gdy się głód skończył, pozwolono im powrócić do ojczyzny".

— Patrzcie, jak pięknie postąpili Asyryjczycy!— zdziwił się król.

— Rzadko im się to zdarzało — zauważył Harbona.

— Jednak był to naród dzielny.

— Dopóki go nie zepsuły zbytki.

— Czytaj dalej:

Pisarz czytał:

„Król Urtaki wywiódł swe wojska przeciw Asurowi...

— Oh! — zawołał król zdziwiony, a pisarz czytał dalej:

„Ale wkrótce wrócił do Suzy, Tiumman, brat króla Urtaki, podniósł na niego swą rękę i zabił go i panował w Suzie miast niego. Synowie Urtaki uciekli do króla Niniwy. Gdy zakwitły lilie pod Suzą, Assur-Ben-Abal przyszedł z wojskiem do kraju Elam,

zabrał do niewoli Tiumana i jego syna i kazał ich zabić, a królem Suzy ogłosił Umbaniga, syna Urtaki.

„Assur-Ben-Abal napadł przytem na miasto Suzę, zabrał skarby: złoto i srebro i wszystko, co nagromadzili pierwszy król Elamu i jego następcy, czego nigdy nie dotykał żaden nieprzyjaciel. Zabrał Suzynaka, boga mieszkającego w lasach, którego oblicza świętego nikt jeszcze nie oglądał. Zabrał też bogów Samudu, Lagamara, Partikiru, Amman-Kazibaru, Udurana, Sapaka, którym kłaniali się wszyscy królowie Elamu. Zabrał wszystkie te bogi i boginie z ich skarbami, bogactwami, kapłanami i czcicielami i przeniósł je do kraju Assur. Trzydzieści dwa posągi królów ze złota i srebra, bronzu i marmuru z miast Suzy, Madakty i Uradi, posągi Ummanisa, syna Umbadary, posąg Istar Nachunty, Halluzi, posąg Tammaritu, ostatniego króla Elamu. Potłukł lwy skrzydlate i cielce, przed bramami świątyń stojące. Wywrócił cielce skrzydlate, strzegące wejścia do pałacu, których dotąd nikt się nie dotykał. Posłał do niewoli bogi i boginie. Święte gaje, do których nikt nie zaglądał, w których tajemnice nikt nie przekraczał, splądrowali żołnierze Asur-Ben-Abala i zarzucili je w płomienie. Wysuszył studnie i pobił mnóstwo ludzi".

— Niech będzie przeklęty Asyryjczyk!—zawołał Achaszweros.

— Siedmiorakie przekleństwo nad tym narodem—przywtórzyli pisarze.

Inny pisarz zaczął:

„Arbaces, wódz Medyi i Belezys, rządca Babilonu, oblegli Niniwę. Sardanapal, król Assuru, bronił się mężnie, ale gdy wojska Arbacesa, korzystając z rozlewu rzeki Tiglat, weszły do stolicy i zbliżały się do

zamku, Sardanapal spalił się w pałacu swoim ze wszystkiemi żonami i skarbami swojemi. Z miasta Niniwy nie został kamień na kamieniu, a ziemia Assur służy dotąd Suzie".

„Za panowania Utrachsatara [1]) naród wielki [2]) przyszedł z północy, zniszczył kraj Assura i kraje z nim sąsiadujące. Uwachsatara pozabijał królów, przełożonych ludu owego, i wypędził barbarzyńców za góry [3]). Uwahsatara król złączył Medów i stał się panem bardzo potężnym. Zawarł on przymierze z Nabu-Bel-Ussurem [4]), satrapą asyryjskim w Babylu, który ogłosił się królem babilońskim, przeciw srogiemu Assurowi. Syn Nabu-Bel-Ussura Nabu-Kudu-Ussur [5]) pojął w małżeństwo córką Uwachsatary Amitę. Wojska sprzymierzone zdobyły Niniwę, a syn okrutnego Assur-Ban Abala, Assur-Dililani [6]), zginął w gruzach swego pałacu.

„Achaszwerosz, król królów, władca świata, wojował z Alyatesem, królem Lydyi. Pewnego razu podczas bitwy ciemności zupełne zaległy świat [7]), a wtenczas z obu stron, przerażeni gniewem bogów, zawarli pokój. Achaszwerosz pojął za żonę córkę Alyatesa, Aryenidę".

„Trzeciego roku panowania Achaszwerosza, kró-

---

[1]) Cyaksares.
[2]) Scytowie.
[3]) Kaukazkie.
[4]) Nabopalassarem.
[5]) Nabuchodonozor, który zburzył Jerozolimę.
[6]) Sardanapal, syn Assurbanipala.
[7]) Zaćmienie słońca 610 r.

la, zostali pojmani i ukarani zbójcy, mieszkający w lasach między Diglatem i Paratem" [1]).

„Ja Achaszwerosz, król królów, pan świata, król kraju Persów i Medów, sam w moim majestacie, pieszo, schwytałem za ucho potężnego lwa pustyni i z łaski boga Ahumarazdy i bogini Anachity przebiłem mu własnoręcznie piersi włócznią".

„Wielki Ahumarazda, który jest największym z bóstw, zrobił królem Achaszwerosza i dał mu państwo. Z łaski więc Ahuramazdy Achaszwerosz jest królem. Achaszwerosz, król, mówi: ten kraj Persa i Madai, który dał mi Ahumarazda, który jest piękny, bogaty w konie i ludny, z łaski Ahuramazdy i z mojej, króla Achaszwerosza, nie boi się żadnego nieprzyjaciela. A słudzy moi i niewolnicy, którym dałem spokój i szczęście, Bigthan i Thares, rzezańcy, zamyślili złe przeciwko mnie i umyślili zabić mnie, króla swego. Myśli ich odkrył mi przez usta Mardochai, Żydowiny, Ahuramazda, bóg potężny. Przeto Achaszwerosz, król, mówi: Oby Ahuramazda pomagał mi, a kraj ten bronił od zastępów nieprzyjacielskich, od nieurodzaju i kłamstwa. Oby żaden wróg nie przyszedł do tego kraju, ani zastępy nieprzyjacielskie, ani nieurodzaj, ani kłamstwo"...

— Jak wynagrodzono Mardochai za wierność? — zapytał król.

— Mardochai żadnej nagrody nie otrzymał — odpowiedział Harbona.

— Czemuż go nie wynagrodzono?

— Zapomniano o tem.

Nastało milczenie.

---

[1]) Tygrysem i Eufratem.

Od strony dziedzińca dolatywały przytłumione głosy, a z ogrodu krzyki zbudzonego ptactwa. Dzień się już robił i sień wewnętrzną zaczęli napełniać ministrowie.

Wreszcie król rzekł:

— Mardochai został bez nagrody... Jeden za swoją dzielność otrzymuje ziemię, inny za wierność, podarunek, a on co otrzymał? Przypominam sobie, że Haman dopominał się zagłady na cały jego naród...

— I wyrok już ogłoszony — przerwał Harbona. — W całej Suzie płacz wielki i narzekanie między tym ludem.

— Pod moją pieczęcią?

— Pod pieczęcią twoją, o panie!

Król poruszył się niecierpliwie.

— Lecz cóż zawinił ten naród?

— To zemsta dostojnego Hamana na Mardochai, że przed nim nie klękał.

— Dlaczegoż nie klękał?

— Bo mu zabrania tego jego religia.

— Jednakże człowiekowi temu krzywda się stała. Gdyby nie on, jużbym nie żył na świecie. Jego wierność uratowała mi życie, a państwu zachowała króla.

— Ahuramazda mówi przez usta twoje, o panie!

— Mardochai nie może być karany; należy mu się nagroda.

— Mądre wyroki twoje, o panie! — zawołał Harbona, a pisarze upadli przed królem i wykrzyknęli:

— Żyj wiecznie, sprawiedliwy panie, synu Ahuramazdy.

— Niech imię twoje będzie sławione po wszystkiej ziemi.

Wtem zapukano do drzwi i kapłan stojący w sieni zawołał:

— Wstawaj, o panie, i pomyśl, na jaki cel Ahuramazda posadził cię na tronie!

Co dzień o wschodzie słońca budził kapłan króla temi słowy, ale Achaszwerosz nigdy się nad niemi nie zastanawiał. Dziś jednak drgnął, jakby urażony wyrzutem. Czuł, że w jego imieniu stała się niesprawiedliwość; a przecie nie na to posadził go na tronie Ahuramazda, żeby gubił niewinnych i odpłacał niewdzięcznością za wierność.

Wprawdzie stało się to bez jego wiedzy, ale z jego wolą. Wyrok ogłoszony, odwołać go niepodobna, lecz należy upokorzyć Hamana i pokazać ludowi, że król umie za wierność odpłacać.

Dał więc znak pisarzom, aby wyszli, i rozkazał zawezwać dowódcę straży, która czuwała przy drzwiach sypialni. Gdy ten wszedł i ucałował ziemię, król zapytał:

— Kto czeka na posłuchanie?

— Dostojny Haman.

— Aha — mruknął król — Haman, niech wejdzie!

Haman wszedł, ukłonił się aż do ziemi i wypowiedział pozdrowienie.

Miał on prosić króla o pozwolenie powieszenia Mardochai. A był najpewniejszy, że król mu tego nie odmówi, bo cóż mogło znaczyć życie jednego pisarza?

Ale Achaszwerosz spojrzał mu bystro w oczy i rzekł:

— Jaki jest największy przymiot panującego?

— Sprawiedliwość — odpowiedział Haman.

— Jak więc sądzisz, czy posiadam ten przymiot?

— Któżby o tem mógł wątpić, o panie; jesteś najsprawiedliwszy ze wszystkich królów ziemi.

— A czy powinnością jest panującego wynagradzać okazywaną mu wierność?

— Ty wiesz o tem, panie, bo nigdy nie zostawisz wierności bez nagrody.

— Mylisz się, Hamanie, bom zapomniał wynagrodzić jednego ze sług moich, który okazał mi prawdziwą wierność.

Haman był pewny, że król jego ma na myśli, ale ukrył się z tem i rzekł:

— Samo okazanie wierności swemu królowi jest największą nagrodą dla prawdziwie wiernego sługi; ale skoro król pragnie kogoś wynagrodzić, nagroda zawsze jest przyjemna.

— Powiedz więc, co trzeba zrobić temu człowiekowi, którego król chce uczcić?

Haman zarumienił się z radości, trochę się namyślał, wreszcie rzekł:

— Człowiek, którego król chce uczcić, ma być obleczon w szaty królewskie i wsadzon na konia, który pod siodłem królewskiem chodzi, i wziąć koronę królewską na głowę swą, a pierwszy z książąt i panów królewskich niech dzierży konia jego, a po ulicy miejskiej idzie, niech woła i mówi: Tak uczczon będzie, kogokolwiek będzie chciał król uczcić!

Myśli Hamana były nadto przejrzyste, by ich król odgadnąć nie mógł. Uczuł więc niechęć do swego ulubieńca, ale osądził, że za wielkie będzie dla

niego upokorzenie, gdy mu rozkaże prowadzić konia Mardochai, zwłaszcza, że miał do niego złość, iż mu się nie kłaniał. A przecież żaden z książąt nie mógłby wyrządzić tej czci Mardochai, jeno Haman, który to obmyślił.

Po namyśle więc rzekł:

— Zastanów się, Hamanie, czy nie za wiele czci dla tego człowieka?

Lecz Haman z prawdziwym zapałem zawołał:

— O, królu i panie mój, nigdy za wiele czci dla człowieka, którego król chce uczcić.

— Tak, ale książę, któremubym rozkazał prowadzić konia po ulicy, czułby się bardzo upokorzonym.

Hamanowi stanął przed oczyma wieczny jego przeciwnik, Charszna. I uśmiechnął się z zadowoleniem na myśl, że nie kto inny, tylko on będzie prowadził jego konia i będzie ogłaszał jego cześć.

Rzekł więc:

— Wszelkie rozkazy króla są dla wszystkich zawsze przyjemne. Przeklęty ten książę, któryby nie spełniał rozkazów pańskich z ochotą i zadowoleniem.

Król uczuł nagle gniew przeciw Hamanowi.

— Taka jest rada twoja? — zawołał.

— Rzekłeś, o panie!

— Pośpiesz się więc, a wziąwszy szatę i konia, uczyń, jakoś powiedział, Mardochai Żydowi, który siedzi przede drzwiami pałacu.

Haman zbladł. Ścisnął mocno krawędź łoża, by nie upaść.

Zapanowała cisza.

Rzezańcy słyszeli bicie swych serc.

Wreszcie Haman drżącym głosem wybełkotał:

— Więc to o Mardochai, Żydzie, król i pan mój myślał?

— A o kimże miałem myśleć?

Haman runął na ziemię i zaczął wołać:

— Panie, zabij mnie, ale nie poniżaj tak bardzo. Nigdym się nie sprzeciwiał rozkazom twoim; wola twoja dla mnie święta, ale nie wymagaj ode mnie tej hańby!

Król podniósł się na łożu i, patrząc gniewnie na Hamana, mówił:

— Hańba? A przecież sam żądałeś jej. Sam postanowiłeś, aby najwyższy z książąt prowadził konia za uzdę. A któż jest wyższy od ciebie? Wypełnisz tylko to, co sam postanowiłeś.

— Czemże zasłużył ten Żydowina na taką cześć?

— Nie wiesz, że ocalił mi życie, że ostrzegł przed spiskiem Bigthany i Therasa? A jakąż nagrodę otrzymał?

Haman stał, jak ogłuszony.

Co za dziwne zrządzenie losu! On postawił szubienicę, aby powiesić na niej Mardochai; przyszedł do króla wyjednać na to pozwolenie, a tymczasem król chce wyrządzić cześć temu człowiekowi. Co na to powie Charszna i inni książęta? Co pomyśli ten Mardochai? Co powie król, gdy się dowie o szubienicy? Gdyby można ją zburzyć, zanim dojrzą ją oczy ludzkie. A na nieszczęście, taka wysoka, że zdaleka ją widać.

Wreszcie król zniecierpliwiony rzekł:

— Nie podoba ci się to, coś sam postanowił? Pamiętaj na żonę i dzieci.

Haman wstrząsnął się cały. Wiedział, jaki los

okropny spotkałby jego rodzinę, gdyby nie wypełnił woli królewskiej. Uspokojony więc na pozór, rzekł:

— Wszystkie rozkazy twoje, o panie, są miłe słudze twemu.

— Idźże więc i zrób, jak sam powiedziałeś, a strzeż się, abyś nic nie opuścił.

Haman wyszedł.

W tym czasie Mardochai był u Zammamanaddina. Siedział w szatach pokutnych i wzdychał do Jehowy o zmiłowanie.

Zammamanaddin klął wszystkiemi bóstwami swemi i mimo wczesnej pory wychylał czarki...

— Niech ich Allat zdusi, niech Namtar owionie swym strasznym oddechem! Napij się, Marduka, dosyć już postu i pokuty.

Mardochai wzniósł oczy w górę i westchnął.

— Co ci pomoże wzdychanie; do czternastego dnia miesiąca Adar daleko. Może Haman w tym czasie dostać się w ręce boga Szeda i powędrować do królestwa Allath. Tego mu z całego serca życzę. Warto mu nawet dopomódz. Poradzę się jasnowidzącej. Co tam, napij się, Marduka, potem pomyślimy o dostojnym Hamanie. Znajdziemy sposób i na Achaszwerosza, króla. Pomówię o tem z Athachem. Poznasz, żem prawdziwy twój przyjaciel...

Ale słowa zamarły mu w ustach, bo wszedł setnik z kilku żołnierzami straży pałacowej i stanąwszy przy drzwiach. zawołał:

— Dostojny Mardochai niech idzie za mną!

— Od kogo masz rozkaz? — zapytał przestraszony Zammamanaddin.

— Od najdostojniejszego Hamana.

— Nieszczęście, Marduka, nieszczęście! — wołał w rozpaczy Zammamanaddin.

— Nie bój się, Zammamanaddinie — rzekł spokojnie Mardochai — co Bóg postanowił, to będzie! Wola jego święta.

— Haman każe ci głowę uciąć!

— Ha, cóż robić? — odrzekł Mardochai.

Ale przeszły go dreszcze, bo to było prawdopodobne.

Żołnierze zaprowadzili go do łaźni. Tu czekał na niego Haman.

Stanęli przed sobą z błyskami w oczach, z pogardą jeden ku drugiemu. Wyprostowani mierzyli się długo wzrokiem pełnym nienawiści.

Wreszcie Haman rzekł:

— Żydzie! twoje dziesięć min zwyciężyły moje dziesięć tysięcy talentów, którem ofiarował za ciebie i naród twój!

— Nie przeciwstawiałem twoim pieniądzom złota, ale niewinność moją, modlitwę i post, a to więcej warte, niż dziesięć min.

— Gotuj się więc do czci, jakiej żaden Żyd nie dostąpił.

— Nie nazywaj mnie wzgardliwie Żydem, bo się tem szczycę, a i ty z tego narodu pochodzisz.

Haman zarumienił się i rzekł:

— Myj się prędzej, wasza dostojność, bo później będzie upał.

Mardochai niewolnicy wykąpali, wystrzygli, wyczesali. Potem jeden z nich wysmarował go całego

pastą sandałową, a twarz umalował szafranem. Wreszcie skropiono go olejkami wonnemi i zaprowadzono do szatni królewskiej.

Mardochai sądził, że to ku większej wzgardzie czynią, a zaraz wyprowadzą go na męki.

XX.

Aminadab siedział na dachu swego domu pod kopułą.

Na wspaniałym dywanie, z nogami przed siebie wyciągniętemi, siedziała przed nim jasnowidząca.

Widać ztąd było mury pałacowe wraz z bramą i schodami i przyległe ulice, na których teraz było tłumno i gwarno.

Wieśniacy toczyli liczne wózki z warzywem lub prowadzili osły obładowane worami skórzanemi; wielu już wracało z podwórza pałacowego. Jechały pańskie pojazdy w tę i ową stronę, szli żołnierze, snuli się niewolnicy, a od czasu do czasu ukazała się lektyka.

Słońce stało już wysoko, ale nie było upału.

— Psy pogańskie — mruczał Aminadab — gdybym mógł zdusić ich, jak Samson zdusił lwa, lub powalić jednym kamykiem, jak Dawid Goliata...

Ale jasnowidząca przerwała mu:

— Należy poskramiać wybuchy oburzenia.

— Nie mogę.

— Trzeba koniecznie, bo wylew gniewu w miejscu lub czasie niewłaściwym może cię zgubić. Gdybym wtenczas nie przechodziła wypadkiem podle tej zgrai, która cię otoczyła, byłbyś zginął, dostojny panie. A szkoda twej młodości, szkoda twych sił, które są potrzebne dla dobra twego ludu.

— Który skazany na zagładę.

— W ten sposób jednak nie uratujesz go.

— A cóż radzisz mi czynić?

— Zanim przyjdzie czternasty Adar, można bardzo wiele zrobić.

— Więc cóż?

— Należy próbować rozmaitych sposobów, a gdy żaden się nie uda, wtenczas dopiero można odpierać gwałt gwałtem.

— Nożem chyba.

— Czem się da. W twoim domu można długo się bronić, ale trzeba się przygotować dobrze, a robić wszystko powoli, z rozwagą.

— Mówisz, jakbyś należała do córek hebrajskich.

— Hebrajką nie jestem, ale dla ciebie, o panie, gotowam wszystko uczynić! — zawołała z niezwykłym zapałem.

— Pokaż mi więc Sarwię.

— Sarwię?

— Tak, chciałbym ją jeszcze widzieć.

Jasnowidząca zrobiła ruch, jakby chciała powstać, ale opuściła tylko głowę i szepnęła:

— Czegoż chcesz od niej?

— Chciałbym ją mieć na zawsze. To taka miła

dziewczyna, onaby osłodziła mi życie; ale niestety, ona jest w Karkemiszu, w świątyni Athary.

— Czemużeś jej nie zabrał?

— Jestem ajar ajarim! — krzyknął ze złością.

— A królowa Ester?

Aminadab zaczął machać rękami, jakby dla odpędzenia much.

— Nie mów mi o niej! — wołał — zabrali ją te psy, niech ją mają, ja chcę mieć Sarwię.

Jasnowidząca znów się poruszyła, a oczy jej pałały, jak dwa świętojańskie robaki.

Drżącym głosem rzekła:

— Ale jej nie ma.

— Pokaż mi ją, choć na krótko. Chcę ją widzieć; ona taka dobra. Jam ją skrzywdził, Bóg mnie zato skarał.

Wyciągnął do niej ręce, a jasnowidząca porwała je i zaczęła namiętnie całować, a on czuł, jej gorące łzy.

Zdziwiło go to, a ona szepnęła:

— Zapomnij o niej.

— Pokaż mi ją!

Wtem w bramie pałacu zabrzmiały trąby i zadzwoniły gongi.

Aminadab z jasnowidzącą przysunęli się do balustrady, okalającej krawędzie dachu, i ciekawie patrzyli na ruch gorączkowy, jaki się wszczął przy bramie.

Na ulicę zaczęły wychodzić różne pułki pieszych żołnierzy i ustawiać się szeregami po obu stronach. Kronator[1]) na białym koniu wskazywał miejsca.

---

[1]) Hetman, albo minister wojny.

Najpierw więc wyszła setka Persów w wysokich, naprzód pochylonych czapkach; na piersiach ich błyszczały łukowate pancerze spiżowe, na których wisiały opończe skórzane; na nogach mieli buty i spodnie skórzane. W rękach trzymali długie dzidy, a przy boku pobrzękiwały krótkie miecze. Na plecach dźwigali wysokie tarcze, uplecione z gałęzi i łuki, schowane w futerały, w których mieściły się trzcinowe strzały, ozdobione piórami.

Za nimi wyruszyli Medowie w kapeluszach cylindrowych, uszytych z wązkich, pionowo idących pasków. Szaty ich, czyli sarapy, miały szerokie rękawy, po obu stronach w klamry ujęte. Łuki i kołczany ze strzałami mieli zarzucone na barkach; na lewem zaś ramieniu czerwone tarcze kształtu elipsy, z półokrągłemi po obu długich bokach zagięciami.

Dalej ukazali się Suzyanie, uzbrojeni jak Persowie, tylko zamiast czapek, mieli na głowach turbany, a pancerze lniane.

Następnym oddziałem byli Asyryjczycy, w hełmach miedzianych, z żelaznemi grzebieniami. Uzbrojeni byli w puginały, włócznie i maczugi z żelaznemi kolcami. Tarcze mieli okrągłe.

Za nimi wyszli Baktryjczykowie, w wysokich, jak Medowie, cylindrach, z krótkiemi włóczniami i łukami.

Dalej szły inne pułki, jak Chalibowie, z małemi z wołowej skóry tarczami, z dwoma oszczepami, w miedzianych hełmach, ozdobionych uszami i rogami byczemi; na łydkach mieli czerwone wstążki.

Biczonoścy wstrzymywali natrętnych, aby nie wdzierali się do środka.

Zaroiło się od ciekawych.

Pełno ich było na dachach, we drzwiach, bramach. Pytali jedni drugich, dokąd król jechać będzie; inni mówili, że to musi być przyjęcie jakiegoś poselstwa, a jeszcze inni czekali cierpliwie, robiąc uwagi o pojedynczych oddziałach.

Aminadab spostrzegł w tłumie Zammamanaddina.

Stał oparty o słup namiotu Iddiny i przyglądał się żołnierzom.

Nagle gwar ucichł. Na balkonie przed bramą królewską zagrały trąby i z podwórza ruszył pochód gwardyi królewskiej.

Naprzód jechał oddział konnicy z gór Gilanu i Mazenderanu na bykach. Za nimi na białym koniu koronator na czele pułku jazdy perskiej, której żołnierze byli literalnie zakuci w miedź i żelazo. Łuski na pancerzach oficerskich były złocone, szaty na zbrojach purpurowe; małe okrągłe tarcze—obłożone miedzią. Konie też miały naszelniki, oraz pancerze na podkolankach i grzbiecie; kosmyki zaś na ich czołach, ujęte w pierścienie, sterczały nakształt snopu do góry. Stalowe rozety okrywały rzemienie, a z szyi i grzbietu spływały kutasy.

Za Persami jechały oddziały: Medów, Suzyan, Armeńczyków.

Na czele każdego oddziału chorąży niósł *drafszę*, t. j. chorągiew. Na chorągwiach były wymalowane lub wyhaftowane rozmaite znaki: słonie, lwy, smoki, konie, wilki, dziki, księżyc, słońce.

Wreszcie ukazał się wspaniały rumak nizyjski, okryty bogatym czaprakiem prążkowanym.

Na nim siedział człowiek w purpurowej tunice fałdowanej, z szeroką, białą, od szyi aż do rąbka

idącą pręgą. Z pod purpurowego płaszcza widniał pas złotolity na biodrach i szkarłatne spodnie na nogach.

Na głowie lśniła w słońcu złocista korona, od której szła wstęga szeroka; na szyi świecił milionami iskier łańcuch złoty; stopy ukryte były w szafranowe trzewiki, ubrane kamieniami błyszczącemi.

W prawej ręce trzymał długą laskę królewską, w lewej—kwiat.

Obok niego jechał parasolnik i oganiacz much.

Aminadab widział, jak rumak z jeźdzcem stanął obok Zammamanaddina i jak tenże wyciągnął ręce i zaczął krzyczeć. Słychać było nawet urywane wyrazy: „Marduka, Marduka!"

— Czy on zwaryował?—zawołał zdziwiony.

— Woła dostojnego Mardochai—odrzekła jasnowidząca.

— Czegoż on woła? Czyby prosił króla o łaskę dla Mardochai?

— Być może.

Ale orszak się przybliżył. Przed koniem szedł herold i wołał:

— Mardochai za wierność królowi tej czci doznaje!

Aminadab osłupiał.

Porwał jasnowidzącą za ramię i zaczął nią trząść gwałtownie. Przytem krzyczał:

— Słyszysz? Mardochai na koniu w szatach królewskich! Widzisz, jak się zmienił?

Haman w paradnych szatach trzymał konia za uzdę i od czasu do czasu wołał:

— Tej czci godzien jest ten, kogo król uczcić pragnie.

— Patrz, Haman prowadzi konia za uzdę. To on napewno, widziałem go parę razy.

— Jak pięknie ubrany dostojny Mardochai! — zawołała jasnowidząca.

Błyszcząca korona zbliżała się coraz bardziej. Mardochai spojrzał ku Aminadabowi.

— Patrzy na mnie! Jaki piękny!—wołał oszołomiony.

— Uśmiecha się!—rzekła jasnowidząca.

Za koniem Mardochai jechał hufiec tak zwany nieśmiertelnych. Miał on szaty pokryte drogiemi kamieniami, haftowane złotem, a na szyjach złote łańcuchy.

Pochód zamykali jeźdzcy hirkańscy, kadujszyjscy i scytyjscy.

Wojska przesuwały się wspaniałym wężem po wązkich i krętych ulicach Suzy.

Podkowy dzwoniły o twardy bruk, trąbki brzmiały, lud krzyczał.

Gdy ostatni jeźdzcy zniknęli, Aminadab zapytał:

— Co to znaczy? Tu wyrok wytępienia Hebreów, a tam Mardochai używa czci królewskiej?

— A Haman prowadzi konia za uzdę? — podpowiedziała jasnowidząca.

— Czyby się pogodzili? Może Mardochai nareszcie oddał mu pokłon?

— Eh, prędzej to uczyniono na wzgardę, niż na cześć.

— Prawdę mówisz, ale byłaby to szczególna wzgarda.

— Może Ester nareszcie powiedziała, kim jest dla niej Mardochai i król dla niej jedynie kazał go uczcić.

— Tak, Estera to sprawiła; ale tyś powinna wiedzieć!

— Tego nie wiem!—odrzekła krótko.

— Ale Sarwię pokażesz mi?

— Wszystko dla ciebie uczynić gotowam.

— Tylko nie w krzaku mangli nad stawem, bo tam kolce i gęstwina.

— Gdzież więc chcesz ją widzieć?

— W moim domu, w łożnicy.

— Czuwaj więc dziś, o północy przyjdzie do ciebie Sarwia.

— Prawdę mówisz?—zawołał uradowany.

— Na Adona, nie kłamię. Rozkaż tylko odźwiernemu, aby mnie wpuścił.

— On ma już przykazane wpuszczać cię o każdej porze.

Zaczęło słońce dopiekać, więc zstąpili z dachu. Jasnowidząca pożegnała Aminadaba i wyszła, a on zeszedł do izby w suterenie, położył się na łożu i myślał.

Robiło się duszno.

Niewolnica więc, Dina, zlala obficie wodą posadzkę, wyłożoną szlifowanemi, gipsowemi płytami, przypominającemi marmur szary z białym.

Aminadab, leżąc na łożu, zasłanem skórami, patrzył na nią.

Była bardzo młoda jeszcze i miała piękne oczy, twarz różową i włosy jasne.

Stanęła mu przed oczyma Sarwia, ta żywa, zalotna, zawsze uśmiechnięta Sarwia, z którą tak często biegał po wzgórzach syryjskich. Przeciągnął się i uczuł niepohamowaną chęć posiadania jej.

Tymczasem Dina postawiła konew, zbliżyła się do Aminadaba i usiadła na nizkim taborecie.

— Czego chcesz?—zapytał.

— Czemu zawsze smutny jesteś, panie?

— Chciałabyś, żebym był wesół?

— Przyniosę ci kinnor, grać będziesz, a ja ci zaśpiewam pieśń, którą mi śpiewała matka.

— Pamiętasz?

— O, ja mej matki nigdy nie zapomnę!

— Nie mam dziś chęci do grania i śpiewu.

— Widziałam cię wczoraj w ogrodzie bardzo smutnego, płakałam potem i spać nie mogłam.

Aminadab pogłaskał ją po twarzy.

— Dobra jesteś, Dino!

Położyła jasną głowę na jego piersi i szepnęła:

— I ty dobry jesteś, panie!

— Nigdy jeszcze nie mówiłaś mi o swojej matce...

— Umarła. Gdy król Huwaksatara pozabijał wodzów naszych, ojciec mój i matka dostali się do niewoli. Płakali zawsze i tęsknili do ojczyzny, a matka z tęsknoty umarła. Patrzyła zawsze na północ i opowiadała mi o swoim kraju i piękne śpiewała o nim piosnki...

— A gdzie ich ojczyzna?

— Tam, za górami, na północ, gdzie Sauromaty mają swe siedziby. Ja jestem też Sauromatka. Nasze niewiasty biją się na wojnie nie gorzej od mężczyzn.

— Walczyłabyś na wojnie?

— Walczyłabym, ale tylko o swój kraj i o wolność. Lecz, niestety, kraj mój daleko. Już nie ujrzę tych chmur szarych, co deszczem płaczą nad szerokiemi błoniami Saurmatyi; biegać nie będę po tych łąkach zielonych, na których żółte kwiaty rosną; kryć się nie będę w tych borach ciemnych, które tajemniczo szumią.

Łzy zabłysnęły w jej oczach, podobnych do błękitu nieba, a Aminadab przytulił jej główkę do piersi i rzekł:

— Nie widziałaś przecie swego kraju?

— Nie widziałam, ale widzę go w snach swoich; a matka tyle mi o nim naopowiadała, że znam go dobrze i kocham bardzo.

— I ja kocham mój kraj. Widziałem go, byłem w nim szczęśliwy, a teraz jestem w niewoli.

— Czy naprawdę Hebreowie będą wymordowani?

— Tak król rozkazał.

— Tygrys, nie król. Ojciec mój przeklina go codzień i jego ojca Hawaksatarę.

— Niech będą przeklęci!

— Niech zginie to okrutne plemię!

Nastało milczenie, które przerwała Dina:

— Ale czemuż dostojny Mardochai nie obroni Hebreów?

— Jakże może ich obronić?

— Król go poważa, kiedy go tak uczcił. Ale jak pięknie był ubrany, jak sam król. Ale słyszę okrzyki—pewnie już wraca do pałacu, pójdę, przypatrzę się jeszcze.

I porwawszy konew, pobiegła. Na podwórzu spotkała Sarę, która wracała z miasta i, nie zatrzymując się, wpadła do izby Aminadaba.

— Nie wiesz, co się stało w Suzie!

— Mardochai jedzie na koniu królewskim—odrzekł spokojnie.

— I ubrany w piękne szaty i w koronie na głowie.

— A Haman prowadzi konia za uzdę.

Sara zaczęła się śmiać serdecznie.

— Co to znaczy?

— Nie śmiej się więc, Saro, kiedy nie wiesz, co to znaczy, bo może to na pohańbienie, ale nie na prawdziwą cześć.

— Nie, nie — zaprzeczyła — to zlitowanie się Jehowy.

— Być może.

— Niech błogosławione będzie imię jego!

— Niech będzie! — jak echo powtórzył Aminadab.

We drzwiach ukazała się Dina i Zammamanaddin. Widoczne było, że wino Iddiny szumiało mu w głowie.

Wesół był i krzyczał odedrzwi:

— Hosanna, Marduka, hosanna!

— Nie wiesz, co się stało? — zapytał Aminadab.

— Jakto nie wiem; wszyscy wiedzą, a jabym nie wiedział? Wiem.

— Więc powiedz.

— Marduka jeździ, jak król..
— Ale dlaczego?
— Przyszedłem właśnie zapytać cię o to...

XXI.

Dom Hamana stał między bramą południową i pałacem królewskim, prawie w połowie drogi.

Podobny był do innych domów bogatych Suzyan i książąt.

Na grubych więc fundamentach, składających się z podziemnych półkolnych sklepień, wznosił się krużganek sklepiony, idący dokoła czworograniastego podwórca. W krużganku było mnóstwo pokoi, oświetlonych z góry. Wejścia do nich były tylko z podwórza, a od ulicy wznosił się gruby mur z kamieni, połączonych mocnym cementem. Nad pokojami było mnóstwo korytarzy, a nad niemi płaska powała z kopułami lub półkopułami. Ściany wewnętrzne ozdobione były wyciśniętemi na tynku kwiatami i różnemi figurami.

Pokoje zapełnione były bogatemi sprzętami, srebrnemi, złoconemi; zawieszone pysznemi makatami, zasłane dywanami.

Za domem rozpościerał się wspaniały park, w którym rosły piękne drzewa, krzewy i kwiaty, lśniły sadzawki, wodospady i sztuczne strumienie; przebiegały po nim różne zwierzęta.

Pod jedną z najpiękniejszych kopuł tego domu, z ktorej roztaczał się widok na bliższe dzielnice miasta, na pięknym kobiercu i miękkich poduszkach spo-

czywała Zosarra, ulubiona żona Hamana. Otaczały ją niewolnice i przyjaciółki, które zaprosiła na ciekawe widowisko, jakie obiecywała sobie mieć przy egzekucyi Mardochai.

Bo że Haman nie zadowolni się zwykłem powieszeniem przebrzydłego Hebrea, togo była pewna. Spoglądała z rozkoszą na szubienicę, która sterczała wysoko ponad zielenią drzew. Spiewały na niej teraz wesoło ptaszęta, ale wkrótce obsiądą ją kruki żarłoczne.

Uśmiechała się rozkosznie i była w złotym humorze.

— Wczoraj Haman był na uczcie u królowej— rzekła — grał z nią w szatrengi, a i dziś jest zaproszony. Ale dziś będzie miał ucztę prawdziwie wesołą, skoro się pozbędzie tego Mardochai.

— Cóż to za Mardochai? — zapytała Parysatida.

— To ten, dla którego przygotowano szubienicę.

— Czy to znaczny człowiek?

— Pomocnik i przyjaciel Charszny.

— Przyjaciel Charszny? — zdziwiła się Atossa, blizka krewna żony Charszny.

— Ale Charszna go nie uratuje!—zawołała Zosarra. — Haman ma wielkie poważanie u króla. Co zechce, to uczyni.

— Szczęśliwy twój mąż — wyszeptała z zazdrością Aspazya.

— A cóż mu on zrobił?

— Jak wiecie, król rozkazał wszystkim, aby padali na twarz przed Hamanem, a ten niegodziwy Żyd nie chce tego uczynić?

— Doprawdy?—zadziwiły się panie.

— Nie lęka się kary?—zapytała Statira.

— Ufny w pomoc Charszny i w czary swoich bogów.

— Nie mów tego, Zosarro! —zawołała Atossa— bo Charszna nie jest przeciwnikiem twojego męża.

— Powiedziałaś głupie słowo, Atosso, bo Charszna zazdrości Hamanowi i chciałby go poniżyć w oczach króla.

— Tak mówisz?—zadziwiła się Parysatida.

— Nie inaczej; wszyscy książęta nie cierpią Hamana, bo każdy chciałby zająć jego miejsce. Ale to im się nie uda.

— Nie wiadomo jednak, co postanowił Weretragna [1]).

— Haman złożył mu ofiary, a świątobliwy Rathu przepowiedział mu opiekę Ahuramazdy.

Nagle rozległy się trąbki i panie dojrzały koronatora, jak ustawiał wojska piesze na ulicach.

Z radością prawie dziecinną zbliżyły się do balustrady i przyglądały się ciekawie.

— Patrzcie, biczownicy—zawołała Parysatida— pewnie król będzie jechał.

— Prawdę rzekłaś, bo i koronator w uroczystych szatach.

— Ciekawam, dokąd się uda? — pytała Statiru.

Zosarra przybrała minę pobłażliwą, jakby mówiła:

„Nie domyślacie się, głupie, mnie zapytajcie." A gdy żadna do niej się nie zwróciła, rzekła:

---

[1]) Geniusz zwycięztwa.

— Bezwątpienia król będzie chciał widzieć, jak ten łotr Mardochai na krzyżu zawiśnie.

— Więc król przyjedzie do Hamana? — wykrzyknęły.

— A nacóżby ustawiali wojsko po ulicach?

Parysatida klasnęła w ręce.

— Może będą prowadzili tego Hebrejczyka?

— Powinni mu obciąć uszy i nos i prowadzić jak niedźwiedzia na łańcuchu — mruknęła Zosarra.

— Tożby to był lament wśród Hebreów!

— Już cały ten biedny naród płacze — rzekła z współczuciem Atossa.

— Żałujesz ich? — zapytała z przekąsem Zosarra.

— Bo i cóż oni zawinili twojemu mężowi, że ich kazał wytępić?

— Niegodni, aby im świeciło światło Ahuramazdy.

— Ahuramazda przecie ich stworzył.

— To przeciwnicy Ahuramazdy, słudzy i przyjaciele Angromanii. Niech zginą na wieki!

— Zosarro — upominała Atossa — nie bądź niesprawiedliwą! Przecież oni nic złego nie uczynili.

— Za bardzo kochają swój język!

— Czyż to więc zbrodnia, za którą należy ich zabijać?

— Kto kocha swój język, ten nienawidzi mowy naszej, a zatem i nami pogardza.

— Tak mówisz?

— Czyż może być inaczej!

— Ależ w Suzie jest tyle rozmaitych ludów każdy mówi swoim językiem, a nikt nikomu tego za

złe nie poczytuje; tylko ci biedni żydzi skazani zato na zagładę.

— Bo oni nigdy nie odwdzięczą się nam za dobrodziejstwa, jakich od nas doznali.

Atossa wzruszyła ramionami.

— Nie mogę zrozumieć, cośmy im dobrego zrobili. Mieli swój kraj, który tak kochali; mieli wolność, a dziś są tułacze między nami i niewolnicy.

— Właśnie dlatego, że nie chcą zapomnieć o ojczyznie, muszą zginąć.

— Czyż miłość ojczyzny jest zbrodnią? — wtrąciła Aspazya.

— Jak dla kogo: ludy wolne powinny kochać swą ojczyznę, powinny bronić jej od wroga; jest to ich świętym obowiązkiem. Ale naród już ujarzmiony powinien poddać się swemu losowi, powinien zapomnieć o swej dawnej ojczyźnie i kochać nową. Jeżeli tego czynić nie chce, należy go zgnębić, a nawet zupełnie wygubić.

Tak mówiła Zosarra, a jej przyjaciółki słuchały i podziwiały jej mądrość.

Tylko Atossa nie godziła się na takie wywody.

— Jednak naród ten nic złego nie uczynił. Siedzą spokojnie, opłakują swe grzechy, które ich podały w ręce nasze; chcą się z nich poprawić; niczego od nas nie wymagają, jeno powrotu do ziemi ukochanej, i czyż to zbrodnia?

— Podli, niewdzięczni! — krzyknęła z gniewem Zosarra.—Przecież moglibyśmy ich gotować jako mięso baranie i dawać psom na pożarcie, moglibyśmy ich tłuc jako dzikie zwierzęta, a jednak tego nie

czynimy. A oni tego nie rozumieją, tylko wciąż wzdychają do ojczyzny... Ojczyzna, ojczyzna!—wołała w najwyższem uniesieniu.—Tu ich ojczyzna—państwo Achaszwerosza!

Byłoby bezwątpienia przyszło do poważnej sprzeczki między dwiema paniami, bo Atossa czerwona z oburzenia chciała się odciąć; ale wojska piesze już się ustawiły, rozległy się trąbki i gongi—i zaczęły się zbliżać oddziały jazdy.

Kobiety cieszyły się tym widokiem, jak małe dziewczynki. Życie haremowe było jednostajne, nudne; każdy więc wypadek nadzwyczajny budził wielkie zajęcie. Przyglądały się więc pochodowi i robiły wśród głośnego śmiechu różne uwagi.

— Patrz, Zosarro, co za śliczny chorąży! — wołała Parysatida.

— Który?—pytały kobiety, tłocząc się do otworu w balustradzie.

— Ten, co niesie drafszę przed Persami.

— A jak wspaniale wygląda tamten oficer medyjski!

— Ach, jaka piękna zbroja!

— Uważajcie—krzyknęła Statira—parasol króla się zbliża.

— Ciekawam, czy jedzie na wozie, czy na koniu?

— Pewnie na wozie, a Haman obok niego — rzekła z dumą Zosarra.

— Nie na wozie—mruknęła Atossa—widzę już rumaka pod nim.

— Może królowa jest w pochodzie?

— Niosą ją może w lektyce?

— Odwiedziłaby nas — zawołała uradowana Zosarra.—O, jakże się cieszę!

— Słuchajcie, heroldowie coś wykrzykują!

Panie nadstawiły uszu, ale tłumy na wszystkich dachach i ulicach głuszyły wołania herolda. Dopiero po niejakim czasie można było wyrozumieć herolda, który wołał:

— Cześć dostojnemu Mardochai, Hebreowi!

— Co on woła?—zadziwiły się panie.

— To pewnie na urągowisko temu żydowi, którego prowadzą na szubienicę.

— Biedny człowiek—szepnęła Atossa.

Ale Zosarra roześmiała się.

— Chciał się wyróżnić od wszystkich, jest więc wyróżniony. Dobrze mu zrobił Haman, bo to jego bezwątpienia pomysł.

Lecz Parysatida schwyciła ją za rękę.

— Patrz, Zosarro, Haman prowadzi konia za uzdę...

Zosarra zaczęła przyglądać się człowiekowi, prowadzącemu konia Mardochai, a poznawszy w nim męża, szepnęła, zmieniona na twarzy:

— Jednak to coś niezwykłego.

Tymczasem pochód się zbliżył i panie usłyszały chrapliwy głos Hamana:

— Godzien jest czci takiej ten, kogo król chce uczcić!

Zosarra zsiniała, przyjaciółki jej stały w osłupieniu, tylko Atossa była obojętna.

— W taki sposób nie prowadzą zbrodniarza na śmierć — rzekła. — Nie jest to żart, ale prawdziwe

uczczenie i to niesłychane w państwie Achaszwerosza. Mardochai na szubienicy wisieć nie będzie.

Panie spojrzały na krzyż w ogrodzie. Był straszny, ponury, ale w tej chwili ptaszki śpiewały na nim wesoło.

Atossa zaś rzekła:

— Pójdę do Charszny dowiedzieć się, czem zasłużył sobie ten człowiek na taką cześć...

I poszła, a pochód zniknął w bocznej ulicy; słychać było tylko stuk kopyt, uderzających o bruk.

Zosarra siedziała, jak martwa; przyjaciółki nie śmiały podnieść na nią oczu; a że słońce zaczęło dopiekać, więc przeniesiono ją do sali i tam zaczęto oblewać wonnemi olejkami.

Po niejakim czasie wybuchnęła strasznym gniewem:

— To ten przeklęty Charszna urządził tę głupią komedyę. Haman powinien go zgubić. Niesłychane rzeczy, aby jakiś podły Hebrejczyk dostąpił czci królewskiej.

I zaczęła szlochać.

— Mówiłam Hamanowi, aby nie zwracał uwagi na hardość tego żyda, ale on obstawał przy swojem. Prosiłam, aby złożył obfitą ofiarę Weretragnie, aby zjednał sobie Angromanię, ale wszystkiemu winien ten niegodziwy Charszna... A teraz stało się tak wielkie nieszczęście.

— Uspokój się, Zosarro—pocieszała Parysatida— jeszcze nic się nie stało.

— Przeczuwam nieszczęście; widziałam je na twarzy Hamana, słyszałam w jego głosie.

— Walka zawsze bywa nierówna — przerwała Statira — a chwilowe powodzenie przeciwnika nie jest jeszcze jego zwycięztwem.

— O, nie mów mi tego—zaszlochała Zosarra— Haman musiał bardzo upaść u króla, skoro mu rozkazał prowadzić konia za uzdę.

Zaczęli napływać do domu Hamana liczni jego przyjaciele.

Nie mogli pojąć nagłego tryumfu Mardochai; przyszli więc dowiedzieć się i, jeżeli będzie potrzeba, uradzić, jak dalej postępować. Rozumieli bowiem, że między Hamanem a Achaszweroszem coś się popsuło.

W Persyi tak łatwo było od najwyższych godności do największego poniżenia, że niktby się nie dziwił nagłemu upadkowi Hamana. Ale na tem ucierpieliby wielce jego zausznicy i przyjaciele.

Zatrwożone więc mieli miny.

Chodzili prędko po komnatach, pytali jedni drugich i ze strachem spoglądali na szubienicę, która ponuro jaśniała w słońcu, a ptaszki z niej już uleciały, kryjąc się w gąszczach przed upałem.

Człowiek, który miał na niej zawisnąć, wyrósł nagle wysoko; spotkał go zaszczyt, o jakim nie mógł marzyć żaden z książąt, a na zaszczycie pewnie się nie skończy. Mniejszaby zresztą było, ale to wróg Hamana; wre między nimi walka, a tamten zaczyna zwyciężać...

Tymczasem nadszedł Haman.

Ale jakże się zmienił? postarzał bardzo i pochylił się ku ziemi. Nie był to już ten dumny, pewny siebie minister, drugi po królu, ale lękliwy rozbitek, który czuje, że mu już nic nie pozostało.

Wszedł krokiem chwiejnym, patrząc w ziemię, jakby uciekał przed prześladowcą znużony i szukał pewnej kryjówki, albo jak zbrodniarz, którego gryzie sumienie i myśli mu okropne podsuwa.

Rzucił się na otomanę i zaczął jęczeć.

Przybiegła doń Zosarra.

— Co się stało? — zawołała i więcej mówić nie mogła.

Przecież wiedziała, co się stało, nie potrzebowała więc pytać i nie o to jej chodziło. Chciała wiedzieć, dlaczego się tak stało.

Haman po długiej dopiero chwili odpowiedział, a raczej zapytał:

— Nie widzieliście?
— Cała Suza przecie widziała.
— Nie pytaj więc, co się stało...
— Ale dlaczego król wywyższył Mardochai?
— To nie król.
— Nie król? Więc któż?
— Ja.

Osłupieli.

Angromania odjął mu rozum, czy opętał go Melek Taus, bo niedorzecznie prawi.

Zosarra więc przestraszona zapytała:
— Prawdę mówisz?
— Nie inaczej.
— Ale czemże ten człowiek na to zasłużył?
— Wydał spisek Bigthana i Tharasa.

Zdziwienie i przerażenie ogarnęło obecnych.

Haman chyba naprawdę zwaryował, skoro wspomina o spisku. Ale prędko poznali z zachowania Hamana i jego rozpaczy, że dobrowolnie tego nie uczynił. Naglili więc, aby im wszystko opowiedział.

— Źle się stało—rzekł Farnuches—gdy Haman skończył opowiadanie.

— Źle—potwierdził Haman.

— Pycha rozum ci odjęła — dodał alhrarwan Fraapatyos—skoroś dał taką radę królowi.

— Ale co teraz będzie? — wykrzyknęła Zosarra. —Achaszwerosz może wie o wszystkiem.

— Gdyby wiedział o wszystkiem, nie siedzielibyśmy tu spokojnie—rzekł siwowłosy Bogoraz.

— Nic to jeszcze nie znaczy — zauważył Fraapatyos — może w tej chwili „oczy i uszy" wypatrują ślady i przysłuchują się echom spisku, aby nas pochwycić i oddać w ręce surowych sędziów.

Milczący dotąd Siromitres roześmiał się nerwowo.

Spojrzeli nań zdziwieni.

— Czego się śmiejesz?—zapytał oburzony Fraapatyos.

— Stanął mi przed oczyma Charszna.

— Przekleństwo mu!—zawołano chórem.

— Nie śmiej się z Charszny—upominał Fraapatyos—bo on dziś niebezpieczny.

— To przyjaciel i opiekun tego psa hebrajskiego—wtrącił Haman.

— Ale go od śmierci nie uratuje.

— Wyroki króla są nieodwołalne — wtrącił Bogoraz—ale zanim Mardochai z całym narodem zbliży się do mostu [1]) granicznego między czasem i wieczno-

[1]) Był to most ostry, jak miecz. Dusze sprawiedliwych przechodziły przez miecz, a bezbożnych staczały się w przepaść.

ścią i zanim ich dusze bezbożne stoczą się w otchłań, możemy się opić krwi byczej, lub stać się pastwą robactwa w nieckach.

— O, Charszna nam coś lepszego obmyśli!—zawołał Siromitres.

— Tego się nie lękam—rzekł Haman.—Dowodów przeciw nam niema, a ten podły Mardochai musi umrzeć. Nie uda mi się jawnie, naślę na niego zbójów.

— Nie mówiłeś królowi o szubienicy?—zapytała Zosarra.

— Kiedyż miałem mówić?

— I cóż z nią teraz zrobisz?

— Nie wiem.

— Bodajbyś jej nie stawiał? — zawołał Bogoraz.

— Na dworze wiedzą o niej? — zapytała Zosarra.

— Połowa Suzy mówi o niej, a z podwórza pałacowego widać ją doskonale.

Fraapatyos poprawił białą wysoką mitrę na głowie, schował ręce w szerokie rękawy swej szaty athrurwana i rzekł:

— Nie widzę jeszcze niebezpieczeństwa, któreby nam groziło. Bigthan i Thares umarli, nic nie wyjawiwszy. Innych świadków niema. Haman został poniżony, to prawda. Ale to nie oznacza jeszcze, żeby miał stracić łaskę u króla. Sam przecie postanowił cześć, jaką okazano dla Mardochai. A że się w swem postanowieniu omylił, to już nie jego wina. Nie należało zbyt wysoko mierzyć. Jednego tylko nie pojmuję, czemu nie wydano wyroków, któreby

nakazazywały zabijać żydów natychmiast. Byłoby już po nich i Mardochai pokutowałby w królestwie Angromanii. A do czternastego Adar mogą zajść takie zmiany, że żydzi będą nas jeszcze zabijali.

— Wasz Rathu mi to poradził! — zawołał Haman.

— Rathu!—mruknął athrarwan—nie zawsze on dobrze radzi.

— Wolałbyś, ażebym do ciebie przyszedł?

— Juścić dałbym ci radę mądrzejszą...

— Radź więc, co teraz robić?

— Teraz? Należy udawać, że cześć, jaką okazano Mardochai, miłą ci jest. Trzeba wytłómaczyć królowi, że Mardochai to wielki człowiek, że taka nagroda należała mu się, jako zbawcy króla, że należy go nadto obsypać dostojeństwami i bogactwami.

— A szubienica?—zapytała Zosarra.

— Szubienica? Ah, prawda, stoi w ogrodzie.

— A jeżeli król się dowiedział, dla kogo przeznaczona, czy uwierzy zapewnieniom Hamana?

— Mądre słowa twoje, Zosarro.

Nastało milczenie.

Athrarwan rozważał myśli, a inni czekali, co powie.

Wreszcie rzekł:

— Można powiedzieć, że szubienica przygotowana dla niewolników; Achaszwerosz Hamanowi uwierzy. Nie mogę bowiem przypuścić, aby król odwrócił się od niego w ciągu kilku godzin; nic przecie się nie stało.

— A Mardochai?—zapytała Zosarra.

— Mardochai dziś w nocy stanie przy moście do wieczności.

— Jakim sposobem?

— Znajdziemy ludzi, którzy go tam wyprawią.

— Mądrze radzi!—zawołała Zosarra.

— Źle jednak — zauważył Bogoraz — że Haman musi używać skrytobójcy do usunięcia przeciwnika. Znak to upadku.

Tymczasem odźwierny dał znać, że wysłańcy królowej czekają przed domem.

— Ach, uczta dziś u królowej — zawołał Haman—wolałbym w domu zostać.

— Tego nie mów — strofował go Fraapatyos.— Idź z obliczem wesołem, aby król myślał, że ochoczo spełniłeś jego rozkaz, a my obmyślimy mu zemstę.

XXII.

Suzyanie wszelkich narodowości mieli obszerny przedmiot do rozmowy.

Niesłychany zaszczyt, jaki spotkał Mardochai, zadziwił wszystkich i wywołał żwawe o jego powód sprzeczki. Niewielu wiedziało, kto jest ten Mardochai, ale między nimi właśnie rozprawy były najgorętsze.

Trudno było bowiem pogodzić wyroki, skazujące Hebreów na zagładę, z niesłychaną czcią, jakiej dostąpił, po ich ogłoszeniu, jeden z najwybitniejszych mężów tego narodu.

Ale najwięcej mówiono wśród Hebreów.

Nadszedł wieczór.

Piękny był i ciepły; na niebie błyszczały miliony gwiazd; od rzeki pociągał wietrzyk chłodnawy.

Gwarno było na dachach, na ulicach zaś pusto i ciemno.

Jedną z tych ulic szedł człowiek. Szata długa i szeroka spływała mu z ramion; głowę okrywał zawój, od którego szła zasłona. Przesuwał się ostrożnie pod ścianami, jakby się lękał spotkać z „okiem" lub „uchem" królewskiem.

Zatrzymał się przed domem Aminadaba. Obejrzał się dokoła, zwrócił wzrok ku gwiazdom, westchnął zcicha i uderzył młotkiem trzy razy w pewnych odstępach we drzwi.

Rozległ się ponury odgłos w podwórzu między sykomorami; drzwi się otworzyły.

Wszedł w ciemny korytarz, przemknął przez podwórze i niebawem znalazł się w obszernej sali, oświetlonej kilkoma *hanerami* [1]).

W sali było pełno ludzi. Jedni siedzieli na taburetach, inni leżeli na łożach lub na puszystych kobiercach.

---

[1]) Lampami.

W kącie stał stół nizki, długi, zastawiony różnemi sprzętami.

Było duszno; w powietrzu unosił się przyjemny zapach wonnej oliwy.

Nieznajomy zrzucił zasłonę z głowy i zbliżył się do stołu. Był to magid, mówca wędrowny, który przybywał z Babilonu od proroka Ezechiela dla podtrzymywania wiary i rozbudzania żądzy powrotu do ojczyzny.

Aminadab posadził go na miejscu przedniem za stołem i wylał mu na głowę róg olejku różanego, a obecni witali go nizkiemi ukłonami i wykrzyknikami:

— Szalom! Szalom leda, nabi!

Magid poprawił *bahal sehar* [1]), nakazał ręką milczenie i rzekł:

— *Adonai beineiken anaszim nemolim!* [2]) Pozdrowienie wam, mężowie bracia, od proroka i starszych ludu i wszystkiej braci, którzy jęczą w niewoli nad Kebar [3]) i wszystkiemi rzekami Babilonu. Ojcowie nasi zjedli jagodę winną niedojrzałą, a nam zato zęby drętwieją. Grzechy ojców obróciły naród nasz w zużlicę i jesteśmy pośmiewiskiem między poganami, ale Bóg nawróci się do nas i wszystek dom izraelski będzie mieszkał w miastach, które teraz są puste, a wszystkie miejsca, które są obalone, naprawione będą.

---

[1]) Bahal sehar, płaszcz z sierści, przepasany pasem skórzanym.

[2]) Pan z wami, mężowie obrzezani!

[3]) Prawdopodobnie jeden z kanałów Eufratu.

Oto co Pan mówi przez proroka:

„Wylałem rozgniewanie moje na syny izraelskie dla krwi, którą wylewali, i dla bałwanów, któremi się zmazali. I rozproszyłem je między narody i rozwiani są po ziemiach pogańskich. Ale zabiorę was z narodów i zgromadzę was ze wszystkich ziem i przywiodę was do ziemi waszej. I dam wam serce nowe i ducha nowego położę wpośród was i wyjmę serca kamienne z ciała waszego i dam wam serca mięsne. I będziecie mieszkać w ziemi, którąm dał ojcom waszym, i będziecie mi ludem, a ja wam będę Bogiem. I rozmnożę owoc drzew i urodzaje polne, żebyście nie nosili więcej hańby głodu między narody. I obdarzę was dobrami większemi, niżeliście mieli wpierw. I nie dam wam więcej słyszeć sromoty od narodów i hańby od ludzi i narodu swego więcej nie zgubicie...

„I wspomnicie na drogi wasze złośliwe i na sprawy niedobre i obmierzną wam nieprawości wasze i niecnoty wasze. I rozmnożę was, jako trzodę ludzi, jako trzodę świętą, jako trzodę Jeruzalem, na święta uroczyste jego. Miasta spustoszone będą napełnione ludźmi. Bo zmiłuję się nad wszystkim domem izraelowym i powrócę pojmanie Jakóbowe i będą w ziemi swej bezpiecznie, nikogo się nie bojąc. I poznają, żem ja Pan Bóg ich, przeto, żem je przeniósł do narodów i zabrał je do ziemi ich, a nie zostawiłem tam żadnego z nich.

To mówi Pan!"

Zapanowało milczenie.

Magid patrzył w płomień tlejącego haneru, jakby szukał nowych myśli.

Obecni zatamowali oddech.

Wtem wystąpił na środek Aminadab.

— Rabbi — rzekł — pozwól, że włożę w uszy twoje słowo, które niech rozważy mądrość twoja.

— Mów, czego chcesz, młodzieńcze?

— Oto rzekłeś, że Pan wyprowadzi nas z niewoli i mieszkać będziemy w ziemi ojczystej szczęśliwi. Jakoż to się stać może, skoro poganie nas wygubią, jak nakazują wyroki królewskie?

— Wychowany jesteś w niewoli, przeto nie rozumiesz mocy Boga, który wniwecz obraca zamiary mocarzy. Wyroki króla nie zgładzą narodu, który kocha swą wiarę i swoją przeszłość. Król zginie i doradcy jego, a naród żyć będzie. I ty, młodzieńcze, w ostateczne lata swoje wnijdziesz do ziemi ojczystej i wstąpisz na góry Izraelskie. I będą mieszkać potomkowie twoi na ziemi, którą ukochałeś.

— Obyś był błogosławiony, rabbi — wykrzyknął Aminadab.

— Niech będą przeklęci wszyscy nieprzyjaciele nasi! — rzekł Magid, a obecni zaczęli wołać.

— *Kelalah! Arur! goim!* [1])

Magid skinął ręką i zaczął mówić:

— Widzieliście, co się działo dziś w tem przeklętem mieście? Jeruszalaim zdeptane; kamień na kamieniu nie pozostał. Wróg wydarł nam wszystko, co było drogie i święte sercu naszemu, i przypędził nas tu, jako trzodę owiec. Lecz niedosyć mu tego; skazał nas, jak bydło, na rzeź.

— Kalalah goim!

---

[1]) Przekleństwo, przekleństwo poganom.

— Niech będą przeklęci poganie! — odezwał się Arbaces. — Mardochai, który był potężny w uczynku i w mowie przed wszystkim ludem, miał starać się o zniesienie wyroków, ale wyroki wiszą, a on jeździ, jako król, po Suzie.

— Spodziewaliśmy się, iż on miał wybawić Izraela, a oto, co się stało — wyrzekł Ganameel.

Aminadab powstał i rzekł:

— Mardochai kocha gorąco swój naród i cokolwiek uczynił, to dla jego dobra. Raczej dałby się upiec w popiele, niż wyrzec się swej wiary i swych braci. Nie wiem, dlaczego wyrządzono mu cześć, ale żywie Bóg, podłości nie popełnił.

— Czemże jednak zasłużył na taką cześć?

— Mówił mi Barnaba, że w ogrodzie Hamana stoi szubienica, przygotowana dla Mardochai.

— *Wah!* — rozległo się po sali.

Okrzyk zdziwienia i przestrachu.

— *Wah!*

Aminadab mówił dalej:

— Skoro Haman powiesi Mardochai, rozkaże zburzyć mój dom, bo tu Mardochai mieszka.

— *Echah!*

Przerażenie ogarnęło zgromadzonych.

Zapanowała cisza złowroga, słychać było tylko skwierczenie oliwy w hanerach i szum drzew w ogrodzie i w dziedzińcu.

— Ale czemu Mardochai nie przyszedł? — zapytał Aszer.

Spojrzano na Aminadaba, który po chwili namysłu rzekł:

— Mówił mi jeden z naszych, który jest nie-

wolnikiem w domu Hamana, że nasadzono na Mardochai złych ludzi, którzy mają go wśród nocy zabić.

— *Wah!* — jęknęli wszyscy.

Nagle rozległo się gwałtowne kołatanie do drzwi. Wśród zgromadzonych powstał strach. Pozrywali się ze swych miejsc i stali nieruchomo, jak skamieniali.

Ale wnet się uspokojono, bo wszedł Mardochai. Rzucono się ku niemu z pytaniami.

Usiadł na łożu; odrzucił płaszcz i rzekł:

— Naprawdę nie wiem, za co mnie uczczono.

— Pan się zlitował nad ludem swym! — zawołał Magid.

— Niech będzie Imię Jego błogosławione! — wykrzyknęli obecni, a Mardochai mówił dalej:

— Harbona oznajmił mi, że to za wykrycie spisku Bigthana i Tharesa, ale rozważam, że za wielka byłaby to nagroda. Charszna coś więcej chyba wie, ale nie chce mówić. Wracam właśnie od niego.

— Haman zapała ku tobie jeszcze większą nie nawiścią — zauważył Aszer.

— Postawił ci szubienicę — dodał Aminadab.

Mardochai machnął ręką.

— Bóg mnie obroni — rzekł.

— Ale Haman naśle na ciebie zbójów! — zawołał Aminadab.

— Zkąd wiesz?

— Mówił mi jeden z jego niewolników, który mi donosi o wszystkiem, co się w domu tego wroga dzieje.

— Ty masz szpiegów?

— Inaczej być nie może, abbi, muszę śledzić ruchy nieprzyjaciela, ażeby mnie znienacka nie napadał.

— Kto ci w tem dopomaga?

— Jasnowidząca.

— Ty jej ufasz?

— To wyjątkowa niewiasta. Nie jest Hebrejką, ale kocha nasz naród i wiele dobrego mi uczyniła.

— Kto jest ta jasnowidząca? — zapytał Magid.

— To jedna z bardzo mądrych i dobrych *eszeth balaath-ob* [1]). Ona powróciła mi zdrowie; ona wyrwała mnie z rąk godzących na moje życie pogan; ona daje mi dobre i mądre rady.

— Niech będzie błogosławiona — szepnął Aszer.

Nagle Mardochai zapytał:

— Aminadabie, dużo masz oddziałów gotowych?

— W Suzie cztery, z Madakty i okolicy zbierze się co najmniej sześć.

— Jednak to mało.

Ale Magid wzniósł ręce do góry i rzekł:

— Nie w ilości wojska i zastępach jeźdźców, ale w miłości Boga i ojczyzny zwycięztwo!

— Należy jednak oddziały podwoić — zauważył Mardochai.

— Niech przystąpią do nas wszyscy, którzy mogą dźwigać oręż, nawet niewiasty i wyrostki. Mamy dużo czasu do przygotowania obrony.

— Można wynająć wielu Asyryjczyków, którzy również nie znoszą niewoli.

---

[1]) Niewiasta, mająca w posiadaniu ducha wieszczego.

Magid przystąpił do Aminadaba, włożył mu ręce na głowę i rzekł:

— Spraw się, a zgotuj się, i wszystkie zastępy twoje, które zgromadzają się do ciebie, a bądź im za przykazanie.

I pocałował go w głowę, a Aminadab skłonił się aż do ziemi i ucałował błogosławiące ręce.

Po czem Aminadab rzekł:

— Codziennie schodzą się do mnie dziesiętnicy; odbywamy ćwiczenia pod kierunkiem pewnego starego żołnierza asyryjskiego.

— To dobrze, Aminadabie!

— Przekleństwo poganom! — krzyknął młodzieniec.

— Kelalah! Kelalah! — zawtórowali wszyscy.

— Bóg stanie po naszej stronie! — zawołał Magid.

— Niech będzie Imię Jego błogosławione.

Nadzieja wstąpiła w ich serca. Nie widzieli jeszcze ratunku, ale byli pewni, że ratunek będzie, że nie zginą marnie, lecz zwyciężą. Tak byli pewni zwycięztwa, że gotowi byli zaraz wystąpić do walki z potężnym nieprzyjacielem, który w tej chwili zaczął się wydawać im bardzo słabym i godnym lekceważenia.

Po okrzykach upojenia Magid rozwinął papirus i rzekł:

— Mężowie bracia! Zanim rozejdziemy się do domów swych, zaśpiewajmy *mizmor* [1]), który śpiewają bracia nasi w pojmaniu babilońskiem.

Aminadab wziął kinnor i podał dwom innym młodzieńcom nablumy.

Uderzyli w struny, a Magid zaczął rzewnym, jękliwym głosem śpiewać:

Płyną rzeki babilońskie, płyną, szumią w dal,
Wiatr powiewa brzeżną trzciną, nami chwieje żal,
Nad wodami my usiedli o chlebie żebraczym, —
Ziemio święta, matko nasza! Kiedyż cię obaczym?

Słońce płonie, cała rzeka migoce się w skrach,
Na te blaski smutnie patrzą oczy nasze w łzach,
Bo to słońce w naszej ziemi, gdy wstanie poranu,
Piękniej złoci dach Syoński i szczyty Libanu.

Tu na wierzbach długowłosych śród zielonych szarf
Pokruszone wiszą struny od milczących harf;
Niechaj milczą stare harfy o strunach dziesięciu.
Niechaj nigdy w niewolnika nie zabrzmią objęciu!

Z głośnym śmiechem idą ludzie po wodę przez błoń: —
„Hej, harfiarze, syny wraże, z prochu wznieście skroń,
„Zawtórujcie nam pieśniami do naszej swawoli“. —
— Jakoż szukać wam wesela u tych, co w niewoli?

— Nam tułaczom już swych dłoni na harfy nie kłaść,
Gdyby struny, jak pioruny, mogły na was spaść,
To słuchalibyście drżący z ustami blademi,
Jaką pieśnią grzmią harfiarze na przeklętej ziemi!

Zabłysły mu ogniki złowrogie w oczach; przerwał pieśń, wzniósł pięść do góry i zgrzytnął zębami.

---

[1]) Pieśń przy towarzyszeniu instrumentów.

Kilka głosów powtórzyło z zapałem:

„Gdyby struny, jak pioruny mogły na was spaść!“

A gdy się uciszyło, Magid śpiewał dalej:

Jeruzalem, Jeruzalem! biedna ziemio ty!
Gdy twej męce nie poświęcę każdej mojej łzy,
Jeśli ciebie nie ogarnę mym synowskim żalem —
To mnie przeklnij i zapomnij, matko Jeruzalem!

Niech me oczy robak stoczy, niech w nie pluje czerń,
Niech ma ręka w ogniu pęka, niech krzy się jak cierń,
Niech mój język jak gadzina przyschnie do gardziela,
Jeśli zaprę twych boleści dla chwili wesela.

Edomczyku! ty, co w krzyku swoich sprośnych żon
Ucztowałeś i pląsałeś przy błysku ich łon,
Ty, coś wołał, by nam Syon spustoszyć do gruntu,
A odporne miecze nasze zwał mieczami buntu.

Pomnij w trwodze, że na drodze twych zwycięztw i chwał,
Jak lew z cicha, kiedy czyha, nasz Bóg będzie stał,
I coś zdziałał, toć z nagrodą odda sądem Bożym,
I co spadło na nas deszczem, spadnie na cię morzem!

I znów kilka głosów powtórzyło:

„I co spadło na nas deszczem, spadnie na cię morzem!“

A Magid wzniósł rękę i kończył:

Chwila jeszcze! a już będziem błogosłowić tym,
Co nad grodem twym rozwieszą pożarowy dym.

Z ramion matek wyrwą śpiące dzieciąteczek głowy
I ze zgrzytem roztrzaskają o brzeg granitowy! [1])

Pokrzepieni na duchu, pewni prawie zwycięztwa, wychodzili Hebreowie z domu Aminadaba.

Niebawem został sam w swej łożnicy.

Siedział na łożu zadumany. Nie lękał się już o swą przyszłość, ani o swój naród, bo wierzył mocno, że przyjdzie kiedyś godzina wolności i myślał, jakby odnaleźć Sarwię.

Tymczasem zerwała się straszna burza. Wiatr gwałtowny napędził gęstą oponę chmur, które ziały błyskawicami i huczały grzmotami.

Szum wiatrów głuszył trzask piorunów.

Aminadab był przerażony. Patrzył w migocące światło kaganków i drżał na całem ciele.

Wsłuchiwał się w przeraźliwe wycie wiatru i bał się ruszyć z miejsca.

Na dziedzińcu rozległo się stłumione kołatanie do drzwi.

Krew spłynęła mu do serca, które zaczęło bić tak gwałtownie, że musiał przyciskać je z całej siły.

Zamigotały żywiej kaganki, zajaśniały większem światłem, potem przygasły; silny prąd wichru wpadł do łożnicy i otoczył Aminadaba przejmującem zimnem.

Obejrzał się.

Przed nim stała jasnowidząca.

Była okryta szerokim, czarnym płaszczem; dłu-

---

[1]) Psalm 136, tłóm. K. U.

ga, czarna zasłona spuszczała się na twarz i sięgała aż do ziemi.

Wyciągnęła do niego obie ręce i rzekła:

— Pokój ci!

— Bądź pozdrowiona!—zawołał uradowany i uspokojony.

— Chciałeś widzieć Sarwię?

— Ty wiesz o tem.

— Ale Sarwia nie przyjdzie.

— Dlaczego?

— Uciekłeś od niej, gdy cię wołała; wzgardziłeś nią, gdy cię prosiła... Hoi, hoi! młodzieńcze, jak wiatr w polu zmiata liście, tak zmieciona jest ta, której pożądasz. Hoi, hoi! Zraniona sarenka ucieka od strzelca. Hoi, hoi!

Aminadab stał, jak ogłuszony.

To „hoi, hoi" przypomniało mu żywiej góry aramejskie i Sarwię, która wśrod niewiast zawodziła temi okrzykami na jesiennych uroczystościach Adona. Widział ja teraz wesołą, uśmiechniętą, zdobiącą go świeżemi wieńcami.

I ogarnęła go rozpacz i w głowie zaczęło mu się mieszać.

Nagle wielka jasność wdarła się przez otwory do łożnicy i silny huk piorunu rozległ się nad ich głowami.

Aminadab bezwiednie przysunął się do jasnowidzącej.

I ona przytuliła się do niego.

Niebo tymczasem grzmiało coraz bardziej i wiatr szumiał gwałtowniej.

Stali tak oboje milczący przez jakiś czas.

Wreszcie on rzekł:

— Skrzywdziłem Sarwię, to prawda, ale nigdy jej nie przyrzekałem. Teraz jednak przysięgnę jej i niech mi uwierzy, że jej nie porzucę.

— Pójdziesz po nią do Karkemiszu?

— Pójdę choćby do kraju Serów [1]),

— Nie opuścisz jej nigdy?

— Żywie Bóg mój, nie opuszczę!

— Więc słuchaj. Sarwia opuściła świątynię Athary i Karkemisz...

— Zginęła?

— Poszła cię szukać.

— Biedna moja Sarwia—szepnął.

Jasnowidząca przez chwilę milczała, potem odezwała się:

— Szła z karawaną do Babylu. Stara Dayas była z nią. We dnie płakała, w nocy drżała od zimna; krwią nóg znaczyła swą drogę. Szła, a nie ustawała. Była tancerką lub muzykantką, czarownicą lub jasnowidzącą, czasami kapłanką. Nic jej nie mogło zatrzymać; szła do ciebie, do swego Adona. W drodze była służebnicą kupcom, a w Babylu ciężko na chleb pracowała. Szukała karawany, któraby szła do Suzy, a gdy ją znalazła, uczepiła się jej i za twarde posługi przyjętą została.

— Jest w Suzie!?—krzyknął zdumiony.

— Była tu prędzej, aniżeliś z Karkemiszu powrócił...

---

[1]) Do Chin.

— Prowadź mnie do niej!

— Stara Dayas umarła; została więc sama sierotą, bez ojca, bez matki, bez przyjaciela.

— Czemuż nie przyszła do mnie?

— Wzgardziłeś nią, uciekłeś od niej... Widywała cię tu często, podzielała twoje smutki, cieszyła się i płakała nad tobą, gdyś błąkał się po nocach po stracie Hadassath...

— To Sarwia była w ogrodzie w białej szacie?

— Ona.

— Niewiasto, zlituj się, prowadź mnie do niej!

Chciała coś mówić, ale rozległ się straszny huk spadającego piorunu i zagłuszył jej słowa.

Wiatr wył w górnych otworach i płakał, jak stado głodnych szakali.

Przycisnęła się mocno do drżącego młodzieńca i patrząc mu w oczy, szeptała:

— Noc zimna, burza, niebo rozgniewane; stało się coś strasznego w Suzie. Złe moce panują nad miastem.

Jemu nagle przyszła ochota podnieść zasłonę i zobaczyć twarz jasnowidzącej. Biło od niej ciepło; ręce miała miękkie, piękne: musiała być jeszcze młodą.

Czy była piękną?

Przyjemnie mu było, gdy się do niego tuliła. Chciał już zedrzeć zasłonę i spojrzeć jej w twarz, ale ona, jakby odgadła jego myśl, zapytała:

— Kochasz Sarwię?

— Więcej niż własną duszę!—zawołał.

— Bardzo kochasz?

— Język mój nie umie tego powiedzieć...
— Więcej, niż swą ojczyznę?
Zamilkł; nie wiedział, co odpowiedzieć.
Wreszcie rzekł:
— Nie mów tak. Sarwia kocha moją ziemię i będziemy ją kochali oboje, jak dzieci kochają swą matkę.

— Prawdę rzekłeś, młodzieńcze! — zawołała jasnowidząca z niezwykłym zapałem. — Sarwia kocha ciebie, i twój język, i twoją ojczyznę, i wszystko, co twoje!

Burza tymczasem wzmogła się. Pioruny uderzały jedne po drugich; grzmoty nie ustawały.

Nikt w domu nie spał.
Do łożnicy wszedł Mardochai, za nim wbiegły Sara i Dina.

Gdy ujrzeli jasnowidzącą, uspokoili się. Potem usiedli wszyscy i zaczęli śpiewać psalmy.

Nad ranem burza ucichła.
Jasnowidzącaa udała się do przedziału niewiast.
Aminadab spał...

XXIII.

Uczta u królowej nie była tak wesołą, jak wczoraj. Król wprawdzie był w humorze wybornym, ale Haman gryzł wargi i przymuszał się do uśmiechu.

Ester wiedziała o uczczeniu Mardochai, była zadowolona z tego, lecz drżała na myśl, że nareszcie trzeba odsłonić tajemnicę swego pochodzenia i wystąpić przeciw Hamanowi.

Słońce chyliło się ku zachodowi; dzień jednak był upalny; powietrze duszne, ciężkie. Nad tarasem rozpostarta była tkanina purpurowa ze złotemi frendzlami. Wpośrodku niej, między gwiazdami, wyhaftowany był obraz króla. Tkanina chroniła od piekących promieni słonecznych.

Od stawu zalatywał od czasu do czasu chłodzący zefir.

Król opowiadał przygody, jakich miał mnóstwo na polowaniach; wreszcie zaczął mówić o wojnie, którą prowadził jego ojciec z królem Lydyi, Alyatesem.

— Wojska stanęły naprzeciw siebie; dzień był jasny, pogodny. Nagle światło Ahuramazdy zaczęło gasnąć. Nie było wcale chmur, a słońce znikło; zrobiła się noc, ukazały się gwiazdy. Przerażeni wołaliśmy o przebaczenie i znów był dzień jasny, pogodny. Królowie i wszyscy dowódcy wojsk zaniechali wojny, kłuli się w prawe ręce i wysysali jedni drugim krew na znak pokoju i zgody.

— Słyszałem, o panie! — rzekł Harbona — że królowie ludyjscy od podłego plemienia pasterzy pochodzą.

— Opowiedz nam to, Harbona, chętnie twych opowieści zawsze słuchamy.

Harbona zaczął:

— Był niegdyś pasterz w Handaulu, imieniem Gygus. Gdy Gygus pasł owce w dolinie, zerwała się

burza; z chmurą wypadł piorun, uderzył w ziemię, ziemia się rozstąpiła. Gygus ujrzał przed sobą wielką jaskinię w ziemi; zstąpił do niej. W jaskini znalazł wielkiego konia miedzianego. Obejrzał konia i zauważył, że w brzuchu jego jest zasuwa. Odsunął zasuwę, a brzuch konia roztworzył się. W brzuchu był szkielet wielkoluda; na jednym jego palcu błyszczał przecudnie piękny pierścień. Gygus zdjął pierścień z palca kościotrupa i wrócił do swej trzody. Ale nie zauważyli jego powrotu słudzy i towarzysze, i gdy do nich mówił, oglądali się ciekawie, nie wiedząc, zkąd głos pochodzi. Niebawem Gygus przekonał się, że gdy trzymał pierścień w ręce zamkniętej, stawał się dla wszystkich niewidzialnym. Poszedł więc na dwór królewski, niespostrzeżony przez straże, wszedł do łożnicy króla, zabił go, a jego małżonkę pojął za żonę i został królem Lydyi.

Zachwyciło wszystkich to opowiadanie Harbony, ale królowi przypomniał się sen, jaki go trapił w nocy. Spojrzał więc nieufnie na Hamana, który siedział ponury i myślał, co robić z szubienicą, wystawioną dla Mardochai.

— Dobrze, iż w naszem państwie nikt takiego pierścienia nie posiada!—rzekł wreszcie król.

— Gdyby nawet był kto taki — rzekł Haman— nie uszedłby „oczu i uszu" twoich, o panie!

— Są jednak rzeczy, których „oczy" nie widzą, a „uszy" nie słyszą.

— Mądrość płynie z ust twoich, panie!—zawołał Harbona. — Tron króla jest dla wielu silną ponętą, a królowa jest najpiękniejszą ze wszystkich niewiast.

— Czy myślisz o kim?—zapytał król.

— Myślę o Bigthanie i Tharesie.
— Zostali ukarani surowo.
— Niech będą przeklęci.
Ester była niespokojna.

Serce jej waliło, jak młotem. Modliła się w duszy do Jehowy o moc i odwagę, ale im bliżej była chwila stanowcza tem większą odczuwała trwogę.

Tymczasem król zwrócił się nagle do niej i zapytał:

— Powiedz-że mi, Ester, jaką masz prośbę do mnie?

Krew spłynęła jej do serca; zaczęła drżeć na całem ciele. Słowa na ustach jej zamarły.

Wreszcie padła na kolana i zaniosła się płaczem gwałtownym:

— O, panie! — zawołała, łkając. — Prośba moja jest tak wielka, iż lękam się jej wypowiedzieć.

Król był zdumiony.

— Bądź mężną — rzekł — i mów śmiało, czego żądasz, bo choćbyś prosiła o połowę królestwa, nie odmówię ci.

Już miała wskazać wroga, który nie domyślając się wcale, że to o niego chodzi, patrzył na nią z niemałem zdziwieniem. Ale właśnie ten jego wzrok odebrał jej resztę odwagi.

Zaniosła się więc nowym wybuchem płaczu.

Zawtórowała jej Sparetra i wszystkie służebne. Rzezańcy i niewolnicy posmutnieli.

Król był szczerze zmartwionym.
Przemawiał do niej łagodnie:

— Mów śmiało, nie lękaj się. Jeżeli skrzywdzo-

no cię, zemsta moja dosięgnie każdego, kto na twój gniew zasłużył.

Przyłączył się do niego Haman.

— Pani!—wołał.—Gotowi jesteśmy życie położyć za ciebie. Cały dwór stanie przeciw twojemu nieprzyjacielowi. Wskaż go tylko.

Ale Ester płakała.

Tymczasem z tłumu rzezańców wysunął się Athach. Upadł przed królem na twarz i zawołał:

— Pozwól, o panie, mówić słudze swemu!

— Mów!—rozkazał król.

— Pani moja, królowa Ester, śmiercią umrze...

— Królu mój i panie, nie dozwól zabić niewinnej!—zawołała Ester.—Daruj mi życie!

Wszyscy osłupieli.

— Któż myśli cię zabić, Ester?—zapytał drżącym głosem Achaszwerosz.—Zkąd przyszło ci myśleć o tem?

A Haman dodał:

— Nie ma dość okrutnej kary dla tego, któryby się ośmielił podnieść rękę przeciw królowej. Ale któżby się na to odważył?

Król zwrócił się do Athacha i zapytał surowo:

— Czemuż przynosisz wieści kłamliwe?

Ale Ester odpowiedziała:

— Athach mówi prawdę. Jestem córką narodu Hebreów, a Mardochai, to brat mojego ojca. Lecz oto wyrok wydany na wygubienie mego narodu... Gdyby skazano nas na sprzedanie, milczałabym, ale czemuż, o królu, gubisz lud niewinny? Ja będę zabita, a stryj mój, Mardochai, powieszony.

Haman odskoczył przerażony.

W oczach mu pociemniało; taras ze wszystkiemi sprzętami, z królem, z królową, rzezańcami i niewolnicami zaczął wirować wokoło niego; podłoga się chwiała. A zpośród tego chaosu wyjrzała poważna twarz Mardochai, poważna, obojętna, spokojna. Na jej widok ochłonął; złość wzięła górę nad przerażeniem. Zrozumiał teraz, dlaczego ten Mardochai był zawsze taki obojętny, dlaczego tak go lekceważył i pewny był zwycięztwa. Więc Estera — to jego synowica, a on ocalił nadto życie królowi! Znów zaczęło się wirowanie wokoło niego. Przymknął powieki i upadł na otomanę.

Król niemniej był przerażony. Przypomniał sobie teraz, że Haman żądał zagłady Hebreów, że dawał nawet do skarbu wielką sumę pieniędzy, ale nie wiedział o wyrokach. Mało go zresztą ten lud obchodził. Teraz zawstydził zię swej niesprawiedliwości. Ester i Mardochai zasłużyli na wdzięczność, a zapewne między Hebreami więcej jest podobnych im ludzi, a on dla kaprysu jednego człowieka pozwolił ich zgubić.

Wściekły był więc na Hamana.

Chcąc się wytłómaczyć przed królową, zapytał:

— Któż tak postanowił?

— Haman — odrzekła — już dzień wyznaczył, w którym mamy być wygubieni...

— Haman? — powtórzył król, porwał się z łoża i zbiegł z tarasu.

Podążył za nim Harbona.

Achaszwerosz biegł prędko po ścieżce, usypanej piaskiem różnobarwnym; niewolnicy, których było tu mnóstwo, padali przed nim na twarz i wykrzykiwali

pozdrowienia; zwierzątka oswojone biegły za nim. Ale on szedł naprzód, nic nie widząc, nic nie słysząc.

Wyrzucał przekleństwa.

— W mojem państwie taka niegodziwość—mruczał — ciągłe intrygi, spiski, kiedyż się to wreszcie skończy?

— Jak usuniesz Hamana, o panie! — zawołał Harbona.

— Ależ wyrok na królowę?

— Należy zniszczyć wyroki.

— Żaden monarcha perski nie odwoływał wyroków przez siebie wydanych, jakoż ja mogę to uczynić?

— Wyrok napisał Hamań.

— Lecz pod moją pieczęcią?

— Wyjednał to podstępem.

— Tak mu zaufałem.

— O, królu i panie mój — zawołał Harbona— łaska twoja zepsuła Hamana. Żądał dla siebie czci, królewskiej, ale to nie wystarczało mu, chciał zasiąść na tronie twoim.

— Być może, być może!—powtarzał Achaszwerosz.

— Wszyscy to mówią. Bigthan i Thares byli jego narzędziami, to niewątpliwe; ale dotąd nikt nie śmiał tego wyjawić, bo miał łaskę twoją.

— Niegodziwiec!—wykrzyknął król.

— Lekceważył cię, o panie, bo oto nie pytając cię o pozwolenie, postawił szubienicę dla Mardochai i ma go dziś powiesić!

— To być nie może?

— Szubienica wysoka na trzydzieści łokci stoi w ogrodzie Hamana.

— Czegoż on chce od tego Hebrejczyka?

— Mści się na nim, że wydał spisek Bigthana i Tharesa i nie chciał mu się kłaniać.

Król biegał dalej w milczeniu.

Haman tymczasem siedział, jak obłąkany.

Patrzył przed siebie, ale nic nie widział, jeno przepaść straszną, bezdenną, w którą zaczął się staczać. Wszyscy nieprzyjaciele jego wynurzyli się z niej w postaci wężów jadowitych i skierowali ku niemu swe żądła; przyjaciele zaś chowali się po kątach najciemniejszych.

Nagle zerwał się i runął do nóg Estery.

— Ratunku, o pani, ratunku! Przebacz! Nie wiedziałem, że pochodzisz z tego narodu!

— Bóg cię ukarał dla pychy, Hamanie — rzekła królowa.

— Jam ci oddany zupełnie!

— Żadna to zasługa.

— Nie gub mnie, o pani!

— Sam się zgubiłeś!

— Miej litość!

— Hamanie!—zawołała królowa—ty prosisz o litość? Ty, któremu nie żal było wygubić cały naród, co ci nic nie zawinił?

— Nie wiedziałem, że to twój naród.

— Żadnego narodu nie wydaje się bezkarnie na zagładę. Bóg wyniszczy ciemiężców, a naród, na którego zagubę czyhali, żyć będzie.

Haman uchwycił się kolan królowej i jęczał:

— Przebacz, nie gub, ratuj. Wszystko uczynię, co rozkażesz, o pani, ale cofnij swe oskarżenie.

Ester chciała się usunąć, ale Haman trzymał ją mocno i upadł na łoże.

Był jak obłąkany.

W tej chwili wrócił Achaszwerosz.

Widział Hamana leżącego na łożu królowej i ściskającego gorączkowo jej kolana; widział ją, odpychającą go i błyski strasznego gniewu zapaliły się w jego oczach.

Ryknął takim głosem, że wszyscy potruchleli.

— Hamanie! i ty ośmieliłeś się rzucić na łoże królowej? w moim domu?

Ale Haman odwrócił się prędko, upadł na kolana i zaczął wołać:

— Nie, panie, nie, królu, przebacz, wysłuchaj!...

Ale król utopił w nim piorunujące wejrzenie i krzyknął:

— Milcz, hyeno, boś ciężko zawinił!

Haman zrobił się zielony na twarzy. Zdziwionym głosem zaczął mówić:

— A cóżem ja takiego uczynił? Czemże na twój gniew zasłużyłem? Czym nie wykonywał rozkazów twoich? Czyż nie za twoim pierścieniem i twoją wiedzą ogłoszono wyroki? A teraz gniew na mnie? Takaż to sprawiedliwość króla Medów i Persów?

— Na królową sięgnąłeś ręką swoją!

— Nic przeciw niej nie uczyniłem. Nie wiedziałem przecie, z jakiego rodu pochodzi.

— Dla Mardochai postawiłeś krzyż!

— Postawiłem, bo nie wykonywał rozkazów two-

ich, znieważał Ahuramazdę. Alem go nie powiesił, nie miałem twego pozwolenia!

— Milcz, nieszczęsny!—wykrzyknął król.

— Wyroki, wydane przezemnie, możesz zmienić, ale nie masz powodu karać mnie.

Król skinął ręką. Wbiegli żołnierze, zarzucili Hamanowi na twarz białą zasłonę i uprowadzili go z sobą.

Do króla zaś przystąpił Harbona i rzekł:

— Oto, panie, szubienica gotowa dla Mardochai... Cóż przeszkadza, aby zawisł na niej Haman? Czyż nie zasłużył na to? Cała Suza wie, że był spólnikiem Bigthana i Taresa, że chciał wedrzeć się na tron, jak ów pastuch Gygus. Wszyscy będą wdzięczni królowi, gdy ukarze Hamana.

— Dobrze mówisz, niech powieszą Hamana.

XXIV.

Noc była ciemna, burzliwa. Drzewa uginały się pod naporem wichru szalonego; od piorunów trzęsło się niebo.

Angromania rozpoczął nad Suzą swe straszne występy, zalewając ją ciemnością chmur ciężkich i wyjąc przeraźliwie w podmuchach wiatru.

Ogień Ahuramazdy przedzierał się przez chmury i na chwilę rozpędzał ciemności, ale niebawem Angromania zwyciężał i wśród większej jeszcze cie-

mnicy rozlegały się ogłuszające łoskoty, od których ziemia drżała, a ludzie, ukryci w najciaśniejszych kątach swych domostw, truchleli.

Walka bóstw w przestworzach była zacięta.

Noc ta okryła hańbę Hamana; grzmoty zagłuszyły jego jęki i krzyk rozdzierający.

Nad ranem Ahuramazda zwyciężył.

Rozpędził chmury i wszelkie żywioły Angromanii i ukazał się oczom swych czcicieli w blaskach jasnego słońca uśmiechnięty, wesoły i dumny.

Wszyscy wybiegli na dachy i wierzchołki gór powitać go radośnie, nietylko mazdajasnowie, ale i dawajanowie.

Athrarwani pryskali z dłoni świeżą wodę przeciw niemu i pozdrawiali go głośno.

Aminadab spoczywał jeszcze na łożu, gdy wpadła doń rozpromieniona Sara.

— *Achi*, *achi* [1]) — wołała od drzwi zmienionym głosem.

Aminadab usiadł i pytał ją wzrokiem, a ona rzuciła mu się na szyję.

— Co się stało?—zawołał zdziwiony.

— O, achi, achi!—łkała.

— Co się stało, Saro?—zapytał.

— Haman wisi na szubienicy w swoim ogrodzie.

---

[1]) Bracie mój, bracie mój.

Aminadab jednym susem wyskoczył z pościeli.

— Haman powieszony?—zawołał.

— Wisi!—odrzekła.

— I ty płaczesz?

— Z wielkiej radości.

Zarzucił płaszcz i pobiegł na miasto.

Na ulicach i placach panował ruch niezwykły.

Wiadomość o kaźni Hamana była na wszystkich ustach. Zrobiła wrażenie ogromne.

Wprawdzie w państwie perskiem nie było rzeczą niezwykłą, że jedni z najniższych szczebli dochodzili odrazu do zaszczytów najwyższych, a najpotężniejsi szli na szubienicę; ale Haman był szczególnie wyróżniany przez króla, a przytem wczorajsza jego rola przy uczczeniu Mardochai dawała powód do ciekawych pytań.

Przed domem Hamana było tak tłumno, że Aminadab z trudnością się przeciskał.

Kopijnicy i łucznicy zapełniali dziedziniec, bramę i wszystkie wejścia.

Tłum płynął, kołysał się, jak wzburzone morze. Słychać było przekleństwa i złorzeczenia.

Dzięki swej sile wcisnął się do ogrodu.

Na małym placyku, między sykomorami, wznosiło się wysokie grube drzewo na pięćdziesiąt *ammah* [1]), poprzecinane w różnych odstępach przecznicami. Tworzyło ono rodzaj drabiny, albo krzyż jedenasto-ramienny.

Jedenastu ludzi, przybitych do tego drzewa, wydawało jęki straszliwe.

---

[1]) Łokieć, około 56 centym.

Był to Haman i jego synowie.

Imiona ich wypisane były na tablicach, umieszczonych pod nogami każdego.

Na wysokości czterech i pół ammah od ziemi wisiał Parszandatha, najstarszy syn Hamana; nad nim rozciągały się członki jego młodszego brata Dalphona; wyżej wisiał Aspatha, nad nim Poratha, dalej Adalia, Aridatha, Parmasztha, Arisai, Aridai i Wajstha.

Nad nimi górował ich ojciec nieszczęsny. Wielkie kliny głosiły jego imię.

Z ust wykrzywionych płynęła krwawa piana.

Poważne sykomory stały nieruchome, jakby przerażone tym okropnym widokiem. W ich gęstych konarach pochowały się ptaszki wesołe, bo kruki i sępy krążyły w powietrzu.

Z wysokości tego krzyża patrzył nieszczęsny Haman na mękę swych synów, patrzył okiem błędnym, i widział Zosarrę, żonę swą, domowników i przyjaciół, widział inne swe dzieci skute w kajdany. Patrzył — i widział swych wrogów, którzy przyszli mu urągać; widział nieprzeliczone tłumy gawiedzi na ulicach, tej samej gawiedzi, która wczoraj jeszcze cześć mu oddawała.

Ale nie było nigdzie Mardochai.

Ból straszny, niepojęty szarpał go; — ból duszy i ciała.

Prawo perskie okrutne, barbarzyńskie — nie zna litości dla winowajcy. Skazańcy muszą przejść przez piekło męki, zanim śmierć położy koniec ich cierpieniom.

Aminadab, mimo całej nienawiści, jaką miał do pogan, nie mógł patrzeć obojętnie na to okrucieństwo. Wprawdzie nie zwolniłby Hamana z krzyża,

gdyby mu to pozwolono, czuł w sercu radość na widok konania wroga, ale chciał prędko ztąd uciekać.

A gdy Haman wydał straszny, przeraźliwy jęk, gdy zbielały mu oczy, skurczyły się członki, gdy zaczął wić się w boleściach, jak robak przykłuty do ziemi, a wszyscy synowie zawtórowali mu bolesnem echem i echo to odbiło się w okropny sposób między skrępowaną jego rodziną, Aminadab zaczął co prędzej cofać się ku wyjściu.

Podążył do pałacu.

Po drodze wstąpił do Zammamanaddina, który, rozciągniony na macie słomianej, klął Persów, na czem świat stoi. Amforka, do połowy wypróżniona, stała na nizkim stoliku.

— A co, nie mówiłem? — zawołał do wchodzącego Aminadaba.—Allath pochłonęła Hamana.

— Co się dzieje z Mardochai?

— Marduka, oho, Marduka będzie wielki...

— Gdzież on jest?

— Zawezwany został do króla.

— I poszedł?

— Zaprowadzono go z czcią wielką. Hosanna Marduka!

— Za co został wywyższony, a Haman zginął?

Zammamanaddin zrobił minę tajemniczą, potrząsnął głową i rzekł:

— Ester, młodzieńcze, Ester—królowa, a to dosyć. Marduka wielki! drżyjcie Persa i Madai, wy, przebrzydli tyrani, gnębiciele Assura...

— Assur był gorszy od nich! — pochwycił Aminadab.

— Assur, to co innego. Assur, pan świata, a oni co?

— Nie Assur, ale Izrael, pan świata! — zawołał Aminadab.

— Ty zawsze sprzeciwiasz mi się, młodzieńcze, ale to nic. Ja wiem, że lubisz mnie drażnić, lecz nie gniewam się o to. Broń swego narodu, to bardzo pięknie. Wyborne mam wino, napij się!

Aminadab wychylił czarkę i rzekł:

— Chcę zobaczyć Mardochai?

Zammamanaddin roześmiał się głośno:

— Chcesz wisieć?

Aminadab spojrzał na niego zdziwiony i odrzekł sucho:

— Pytał mnie już o to Umbakidini, ale to był zbój, a tyś przyjaciel, Zammamanaddinie.

— No, to idź do króla! — zawołał Zammamanaddin gniewnie. — Jeżeli ci życie zbrzydło, możesz iść śmiało.

Aminadab skierował się do drzwi, ale Zammamanaddin zerwał się z maty, pochwycił go w objęcia i zaczął przepraszać:

— Nie gniewaj się, chłopcze, wiesz przecie, że do króla nie może iść, kto nie został wezwany; mój chłopcze, kocham cię, jak własnego syna; napij się jeszcze.

I posadził go na taburecie.

— Domyślam się, że to sprawa Estery — zaczął Aminadab — i jestem jej zato wdzięczny. Wierzę teraz, że była od początku wybraną dla ukarania pychy i wybawienia narodu.

— A jednak rozpaczałeś, gdy ją zabrano.

— Nie rozumiałem wtedy, że wyroki Boga są niezbadane.

— Napij się jeszcze!

— Nie, muszę iść, muszę zobaczyć Mardochai, u króla wiecznie siedzieć nie będzie.

— Idę i ja z tobą.

Wyszli na podwórze. Ruch był tutaj, jak zwykle.

— Chodźmy do kancelaryi — rzekł Zammamanaddin.

— Chodźmy.

W kancelaryi wrzało, jak w ulu. Urzędnicy pisarze i biegali jak opętani. Jedni byli przerażeni śmiercią Hamana, który był ich opiekunem, inni cieszyli się z jego upadku; większość zaś nie wiedziała, czego się trzymać.

Kręciło się wielu Hebreów, żołnierzy, niewolników, interesantów, słowem panowało zamieszanie.

Nagle rozległy się na dziedzińcu trąbki gholamów i ukazał się Mardochai w szatach książęcych, z mitrą złocistą na głowie.

Otaczali go najpierwsi dygnitarze państwa.

W kancelaryi powitano go okrzykami radości. Jedni upadli na twarz, inni na kolana, inni kłaniali się aż do ziemi.

Zammamanaddin usunął się w kąt najciemniejszy.

Miał ochotę wybiedz przeciw Mardochai, rzucić mu się na szyję i płakać, ale pozostał w kącie, bo tak nakazywało prawo i zwyczaj, a zresztą kto wie,

jak go przyjmie Mardochai. Pomyślność najczęściej psuje ludzi.

Aminadab z podziwem patrzył na wszystko, co się wkoło działo. Jak się to wszystko zmieniło! Jak ci ludzie inni dziś, niż wczoraj! Wczoraj z zapałem witali Hamana, a pluli na Mardochai, dziś złorzeczą tamtemu, a korzą się przed tym. Co zrobił im Haman? Co Mardochai? Czem zasłużył się ten i tamten? Wola monarchy wyniosła tego, tamtego zgubiła; a tłumy bezmyślne woli tej przyklaskują, lub też czynią to z podłego wyrachowania.

Mardochai rozmawiał z Charszną i Marszną. Pisarze pisali rozkaz królewski, który nie znosił wprawdzie wyroków poprzednich, ale pozwalał Hebreom bronić się, gdyby ich zaczepiano, i potępiał Hamana.

Wtem spostrzegł Zammamanaddina. Przywołał go i rzekł żartobliwie:

— Cóż myślisz?

— Hosanna, hosanna! — krzyknął Zammanaddin i upadł na twarz.

Mardochai kazał mu powstać.

— Daj pokój, mój drogi, będziesz mi pomocnikiem.

— I wiarę twą przyjmę!

— Owszem, jeżeli ci się podoba.

Zjawił się też Aminadab.

— Synu mój—zawołał Mardochai—widzisz, jak Bóg mądrze uczynił. Idź do domu; zaraz tam przybędę.

Wkrótce potem w domu Aminadabowym byli zebrani wszyscy starsi hebrejscy: Mardochai, Aszer, Arbaces, Izachar, Jojada, Ganameel i inni. Otaczali ich młodzi isz-haile i setnicy.

Radość była wielka. Wszyscy mówili głośno, śmieli się, machali rękami, kiwali głowami.

Magid z trudnością zdołał ich uspokoić.

— Mężowie i bracia! — wołał — Haman, wróg nasz, zginął, ale zostali jego przyjaciele. Oni mścić się będą za niego; oni uderzą na nas, gdy przyjdzie czternasty Adar. Do walki więc gotujmy się.

— Nasze oddziały gotowe — przerwał Aminadab.

— Dobrze, synu, a dużo ich masz?

— W Suzie isz-hailów zbiorę z tysiąc i gdy będzie potrzeba, uderzę na pogan.

— A oręż macie?

— Mamy odwagę i miłość ojczyzny, a to nam wystarczy.

— O, synu, nie wystarczy. Gdy gotujesz wojnę, oblicz siły, abyś nie podejmował sprawy próżnej, która przyniesie ci śmierć, a nikomu pożytku nie zrobi...

— Więc jak?

— Broni wam dostarczę — rzekł Mardochai—ale i dowódcę dam, bo możecie sprawę popsuć.

— Nie popsujemy, skoro król za nami!

Mardochai wzruszył ramionami.

— Król, mój synu, tarcza licha: dziś taki, jutro inny. A wreszcie kto nam zaręczy, że jutro żyć będzie! Siła więc nie w łasce króla, ale w nas samych. Jak pokażemy siłę, każdy król szanować nas będzie.

— Przecież ja zawsze mówiłem: stawiać śmiało czoło poganom, a nie wchodzić z nimi w zażyłość.

— Ale potrzebna nam rozwaga, abyśmy nie marnowali napróżno sił, bo nie mamy ich za wiele. Mam przyjaciela, który długo był w wojsku asyryjskiem, a wojsko to było wyśmienite. On wami kierować będzie.

— Obrzezany?—zapytali isz haile.

— Wszystko to jedno — odparł Mardochai — ale pewna, że nienawidzi Persów i Medów, więc bić ich będzie.

Odtąd przygotowywano się codziennie do stawienia czoła poganom. Czasu pozostawało dużo do czternastego Adar [1]), bo był dopiero koniec Sybanu [2]). Ćwiczono się więc w robieniu orężem, a że „oczy" i „uszy" królewskie zależne były od Mardochai, przeto nie ukrywano się z tem...

Zastępy utworzono na wzór Persów. Hebreowie zbierali się w niewielkich oddziałach na placu obszernym. Na czele każdego stał setnik. Całem zaś wojskiem dowodził stary asyryjczyk, Belibni.

Młodsi isz-haile sypiali na placu w pełnem uzbrojeniu.

Suzyanie z ciekawością spoglądali na tych mężów dojrzałych, wśród których było wielu siwizną już okrytych, na młodzież i na wyrostków, jak w szykach bojowych maszerowali z setnikami na czele na plac główny dla odbycia ćwiczeń wspólnych. Zebranym tu starcom i niewiastom hebrejskim drgało serce radośnie na widok sztandarów narodowych i rosła nadzieja powrotu do ojczyzny i odrodzenia narodu.

---

[1]) Adar—luty.
[2]) Syban—maj.

Na placu podczas ćwiczeń słychać było przeważnie język hebrejski.

Przybysze z Jerozolimy płakali z radości i byli pewni, że kiedyś zaświta dzień, gdy tacy isz-haile z pieśnią na ustach staną pod miastem świętem. Błagali Jehowę, aby nie dozwolił spodlenia narodowi, aby bronił go od spoganienia, aby wlewał weń zapał i siły, iżby przerobiony, oczyszczony nieszczęściami. upadkiem i poniżeniem, powstał i żył na Jego chwałę.

Zapał do pracy wzrastał. Hebreowie przyszli do przekonania, że łaska, którą otrzymali, nic im nie zapewnia, że więc nie należy oglądać się na nią, ale na własne siły.

Jeżeli więc będą mieli w pogotowiu nie tylko pięście, ale i broń w ręku walecznych, utrzymywanych w porządku i rygorze isz-hailów, to poganie więcej ich poważać będą. Nic bowiem tak nie rozzuchwala ciemięzcy, jak zbytnia uległość i brak poczucia siły.

Gdyby zbójca wiedział, że napadnięty bronić się będzie, a choć w końcu padnie pod jego pałką, jednak zmiażdży mu nogi, lub połamie ręce, może powstrzymałby się od napaści.

Pewnego dnia przyszedł Aminadab z placu ćwiczeń zupełnie wyczerpany.

Podano mu w dziedzińcu artabę wina.

Pokrzepiony wszedł na dach pod kopułę, odmówił modły wieczorne i rozciągnął się na otomanie.

Ostatnie promienie słońca ozłociły baszty i wierzchołki domostw, cienie prędko wysuwały się

pod murami i drzewami i zajmowały coraz większe kręgi.

Gwar na dachach sąsiednich wzmagał się; dolatywały go wesołe śpiewy i śmiechy, a nawet słychać było smętne tony *bambirów* [1]).

Ruch na ulicy jeszcze nie ustał.

Myśli Aminadaba uleciały daleko. Śnił mu się Mukinia i myślał teraz o nim. Z tej myśli jednak zaczęły się wysuwać obrazy przeróżne, które zasłoniły zupełnie Mukinię, a wyłoniły Sarwię.

Jasnowidząca mówiła o niej, że jest w Suzie, ale nie mógł znaleźć ani jej, ani jasnowidzącej. W on pamiętny dzień śmierci Hamana zapomniał o wszystkiem, a gdy potem wspomniał o jasnowidzącej, nikt nie wiedział, co się z nią stało.

Mardochai przebywał teraz w pałacu; Sara poszła do usług królowej, nie miał więc nikogo ze swoich przy sobie.

Patrzył smutny na słabnący ruch na ulicy i myślał zawezwać Dynę, aby go swojem szczebiotaniem rozweseliła, gdy spostrzegł zbliżającą się jasnowidzącą.

Szła prędko i zatrzymała się przed jego domem.

Porwała kołatkę, uderzyła w drzwi i zniknęła w bramie.

Za chwilę stanęła przed nim.

— Zapomniałeś o mnie wśród radości — zawo-

[1]) *Bambir* instrument strunowy, na którym grano plektronem (rodzaj smyczka).

łała, siadając naprzeciw niego — alem teraz przyszła do ciebie.

— Wśród okrzyków radosnych myślałem o tobie i pożądałem cię, abyś zaprowadziła mnie do Sarwii.

— Zawsze jej pragniesz?

— Nie uspokoję się, aż ją zobaczę.

— Oto ją masz! — zawołała i odrzuciła zasłonę.

Zerwał się przerażony.

— Lękasz się mnie?

— Sarwio!—wyszeptał drżący.

Porwała jego ręce, patrzyła mu w oczy i z płaczem mówiła:

— Mój ty Adonie, mój Aminadabie, jam udawała jasnowidzącą, aby ciebie widzieć. Jam się okrywała zasłoną, abyś nie uciekł odemnie; jam wyglądała tej chwili, gdy zwrócisz twe serce ku mnie.

Zaczęła całować jego ręce.

— Poczciwa stara Dayas mówiła mi zawsze, że wrócisz do mnie. Wierzyłam jej i sprawdziły się jej słowa.

— Bogu niech będą dzięki! —szepnął.

XXV.

Zbliżał się czternasty Adar — dzień złowieszczy, w którym miały popłynąć potoki krwi dla zalania

wybuchów złości i głupoty ludzkiej. Miały łuny pożarowe ozłocić niebo, jęki i płacze rozedrzeć powietrze; ludzie mieli rzucić się na siebie, jak zwierzęta dzikie, rozjuszone, aby się szarpać i mordować.

Urzędowa Persya wycofała się od tej walki, bo na jej czele stanął Hebrejczyk, syn narodu, skazanego na śmierć.

Nie było więc obawy, aby satrapowie i wojsko napadali na Hebreów.

Ale wyrok, pod pieczęcią monarchy wydany, nie stracił swej mocy. Nie można więc było przeszkodzić wykonaniu rozkazów królewskich, bo raz wydane, były święte, nieodwołalne.

Wprawdzie inne pisma głosiły, że Hebreowie mają prawo bronić się, ale to wcale nie zapowiadało zmniejszenia rozlewu krwi, bo Haman rozkazał, aby Hebreów mordować, a majątki ich łupić.

W Suzie Hebreowie pewni byli zwycięztwa, bo mieli isz-hailów dosyć, a mieszkańcy byli z różnych narodów—nie myśleli o napaści. Ale inne miasta były w położeniu gorszem.

Tam, zdala od władz najwyższych, mogli się znaleźć zbyt gorliwi wykonawcy pierwszego rozkazu, zwłaszcza, że czekała ich nagroda w złupieniu dóbr.

Hebreowie więc skupili się w miejscach bezpieczniejszych.

Aminadab jeździł jako kupiec, wskazywał, co i jak czynić i zachęcał do krwawej obrony.

Ranek upłynął spokojnie.

Dopiero około południa zaczęli się zbierać zwolennicy Hamana. Przebiegali małemi gromadkami przez ulice, miotając przekleństwa na Hebreów.

Przed wieczorem skupił się tłum zbity przed domem Aminadaba.

Ale Belihni ustawionym łucznikom na dachach rozkazał miotać strzały w środek tłumu, a Aminadab na czele kopijników wypadł z bramy i uderzył na przednie szeregi.

Tymczasem z tyłu przybiegł Zammamanaddin ze swoim oddziałem i zrobiło się w tłumie takie zamieszanie, że nastąpiła rzeź—nie walka. Pięćset trupów usłało plac i ulice przyległe; reszta się rozpierzchła.

Hebreowie zdziwili się tak łatwemu zwycięztwu. Ale czuwali przez noc całą; a na drugi dzień sami uderzyli na swych wrogów i trzystu położyli trupem.

Około południa walka się skończyła.

Hebreowie mogli święcić zwycięztwo.

Belihni na prośbę Aminadaba rozkazał zastępom swym uformować szyki i przejść w uroczystym pochodzie przez miasto.

Na czele szli muzykanci. Całe wojsko śpiewało psalmy:

By Pan nie tak łaskaw był na nasze zdrowie,
Niechaj cne izraelskie potomstwo powie,
By była nie ta ku nam życzliwość Pańska,
Gdy na nas wszystka siła przyszła pohańska.

Jużby nas (tak się byli wściekle uparli),
Już nas prawie byli żywo pożarli.
Jużby nas powódź straszna, jużby nas była
Nawałność niesłychanych wód zatopiła.

Panu Bogu niechaj cześć będzie na wieki,
Że nas raczył z ich srogiej wyrwać paszczęki

Wywikłaliśmy się z ich sieci zdradliwych,
Jako więc lichy ptaszek z ręku myśliwych.

Niechajże nam na potem *strach nie* panuje,
Ponieważ tak Wielmożny Pan o nas czuje;
Pan, który swoją ręką niebo zbudował
I ziemski wszystkorodny krąg ugruntował [1])

Ciebie będę, Boże prawy,
Całem sercem wyznawał,
Twoje wszystkie dziwne sprawy
Będę światu podawał.
Jam smutny tak lamentował,
A gdyś usłyszał w niebie,
Teraz się będę radował,
Mając obrońcę z Ciebie.
W tym się dole potopili,
Którzy sami kopali,
W tem się sidle połowili,
Które sami stawiali,
Nie darmo Bóg sprawiedliwy
Po wszystkie wieki słynie —
Uplótł się człowiek zdradliwy
W swoich rąk własnych czynie.
Powstań, wieczny nasz obrońco,
Nie daj się zmocnić złemu,
Twój sąd niech będzie do końca
Światu jawny wszystkiemu.
Ogarnij strachem pogany,
Niech się ludźmi być znają,
Którzy dziś mogą być pany,
Jutro z chudym zrównają! [2])

---

[1]) Psalm 124.

[2]) Ps. XX. Przekład Kochanowskiego.

Suzyanie jedni ukryli się w swych domach, inni stali na dachach, w bramach, na ulicach i wykrzykiwali wesoło.

Radość Hebreów była nieopisana.

W domach ich rozpoczęła się uczta.

Aminadab przyjmował u siebie wszystkich gedolim: starszych ludu, setników i przyjaciół.

Gdy rozbawiono się na dobre, gdy biesiadnicy zaczęli opowiadać sobie wesoło i powstał gwar, Aminadab wprowadził Sarwię i oznajmił głośno, że pojmuję ją za żonę.

Rzucili się do niego wszyscy z okrzykiem błogosławieństwa, a Mardochai zawołał:

— Dobrze, synu, ale pamiętaj, żeś Hebrejczyk, więc zachowaj zwyczaj narodu.

— Nie stanie się inaczej—odrzekł młodzieniec.

— Niech żyje ojczyzna!—krzyknął Magid.

— Niech żyją zwyczaje i prawa nasze!

— Haman! Przeklęty Haman!

— Bracia — zaczął Mardochai — czternasty Adar jest dniem naszego zwycięztwa, naszej chwały. Ten dzień pokazał poganom, żeśmy jeszcze nie zmarnieli, że możemy się bronić, że mamy jeszcze siły, a co najważniejsza, że kochamy nasze zwyczaje, naszą religię i naszą przeszłość. Niech ten dzień co rok przypomina nam, cośmy uczynili, i niech rozpala żądzę rychlejszego odzyskania ojczyzny.

— Hosanna, hosanna!—wołano.

Mardochai mówił dalej:

— Dzień ten będzie naszem świętem narodowem, a nazwijmy go Purim!

— Purim! Purim!

Zaślubiny Aminadaba odbyły się wedle prawa Mojżeszowego. Zamiast *mohar*, którym wypłacano rodzicom za oblubienicę, Aminadab złożył sporą sumę do skarbu narodowego.

Sarwii dał dwieście syklów wiana.

Dla wszystkich Hebreów był to dzień święty. Zaszczyciła go królowa.

Sarwia, wykąpana w wodzie pachnącej, namaszczona olejkami, przybrana w przepyszne szaty, była niezwykle piękną. Na głowę włożono jej wieniec wspaniały, dar królowej. Najpiękniejsze kwiaty, splecione złotemi sznurami, przetykane dyamentami, złożyły się na ten dar, prawdziwie królewski.

Dziewczęta — jej towarzyszki — zachwycone, wołały:

— Kalla, kalla! [1])

Twarz jej promieniała szczęściem.

Dzień się miał ku zachodowi, gdy liczny orszak młodzieży hebrejskiej stanął przed domem Hamana. Król podarował ten dom Esterze, a zamieszkał w nim Mardochai.

Młodzieńcy, wszyscy w strojach narodowych, głośno i wesoło wykrzykiwali, wołając, aby im wydano Sarwię.

Ona tymczasem włożyła zasłonę.

Prowadzona przez Sarę i Dinę, wyszła naprzeciw Aminadaba. Przed nią szło mnóstwo dziewczyn, każda z zapalonym hanerem.

Gdy stanęły w bramie, muzyka zagrzmiała, rozległy się śpiewy i pochód, niewidziany dotąd w Suzie, ruszył.

Najprzód szli muzykanci i śpiewacy, za nimi dwa długie szeregi dziewic z zapalonemi lampami,

---

[1]) Ukoronowana, ukoronowana!

potem Aminadab prowadził Sarwię, za nimi tłum młodzieży, wreszcie zbite gromady ciekawych pogan.

W domu Aminadaba była przygotowana uczta, która trwała siedem dni...

Achaszwerosz zaszczycił gody dnia siódmego. Charszna, Marszna i wszyscy książęta bawili się wesoło; była też uczta dla ludu, którą kazał wyprawić król.

Siódmego dnia wreszcie odbył się obrząd zaślubin. Mardochai, otoczony przyjaciółmi i starszymi ludu, ujął prawą rękę Sarwii i włożył ją w prawą dłoń Aminadaba.

Wzruszony, z oczyma pełnemi łez, rzekł:

— Bóg Abrahama, Bóg Izaaka i Bóg Jakóba niech będzie z wami i niech On was złączy i niech napełnia was błogosławieństwem.

— Hosanna, hosanna!—zaczęto wołać.

Z pośród biesiadników wsunął się Zammamanaddin, rzucił się Aminadabowi na szyję i zaczął wołać:

— Oby Nebo i Merodach użyczyli wam długich lat szczęścia i pokoju...

— Ależ wyrzekłeś się ich — przerwał mu Aminadab.

— Kogo?

— Nebo, Merodacha i wszystkich bogów pogańskich.

— Być może, ale to nie przeszkadza, aby i oni ci błogosławili.

Dziewice tymczasem osłoniły Sarwię od stóp do głowy i przy śpiewie i dźwięku instrumentów odprowadziły do łożnicy!...

ZAKOŃCZENIE.

Upłynęło lat wiele.

Umarł Mardochai, umarła Ester; Achaszwerosz zginął z ręki zabójcy.

Nowe pokolenia zaludniły ziemię.

Wielu, o bardzo wielu Hebreów zapomniało o swej ojczyźnie. Wyrośli w niewoli, nie zaznawszy nigdy słodkiego czaru wolności; przywykli do jarzma pogańskiego, ukochali obcy język, obce obyczaje. Wielu zupełnie spoganiało, porzuciło Jehowę i jego prawa święte; dobrze im było z poganami, żyli z nimi i niczego nie pragnęli.

Ale ogromna większość była tych, co marzyli o powrocie do ojczyzny; oni tu wychowywali swe dzieci w świętej jej miłości, oni na chwilę nie tracili nadziei, że prędzej czy później zabłyśnie im gwiazda wolności i wrócą nad brzegi ukochanego Jordanu.

I zabłysła!

Tysiące wygnańców nieszczęśliwych podążyło do swej ziemi ukochanej. Porzucili dobrobyt, urzędy, handel, obietnice pogańskie, bo milsza im była wolna ojczyzna, niż wszystko na świecie!

Rozrywały się więzy rodzinne: brat uciekał od brata, mąż od żony, syn od ojca, jeżeli ci chcieli zostać wśród pogan.

Szły gromady wielkie i małe, a droga choć daleka i uciążliwa, była wesoła, bo na jej końcu wyobraźnia ich wyrysowała mury Jerozolimy.

Na wspomnienie miejsc, o których mówiły im księgi święte, serce drgało radośnie, dusza się rwała naprzód, znikało zmęczenie.

Był wieczór Słońce krwawą, ognistą kulą staczało się ku ziemi.

Na wzgórzu stała gromadka ludzi. W dolinie rozbijano namioty.

Dwóch silnych mężów trzymało chwiejącego się starca, który wytężał wzrok ku stronie południowej.

— Dzieci moje—mówił—to już Jerozolima?

— Tak ojcze—mówią przewodnicy—tu na tych wzgórzach, gdzie bieleją namioty, stało miasto święte.

— Dziś go niema?

— Niema, zburzyli je poganie!

— Niech będą przeklęci!—zawołał słabym głosem i zaczął drżeć.

— Ale szybko się odbudowywa, — rzekł jeden z mężczyzn, trzymających starca, aby go pocieszyć.

— Bogu niech będą dzięki!

— Nim upłynie rok jeden, miasto stanie i murem się otoczy i świątynia poświęci się Bogu.

Starzec zachwiał się, opuścił głowę na piersi i szepnął:

— Dzieci moje, ja umrę dziś, siły mnie opuszczają, ale ponieście mię, niech oglądam miasto święte zblizka!

— Ojcze, noc się robi, droga niepewna... Jutro, skoro jutrzenka zabłyśnie, ruszymy.

Starzec westchnął.

— Już oczy moje nie ujrzą jutrzenki, ani słońca. I tego nie pragnę. Ale chcę koniecznie ujrzeć Jeruzalem.

— Lepiej nie patrzeć, bo są tylko zgliszcza, a na nich namioty.

— Nieście mię, proszę was!

Przy świetle kaganków poniesiono starca, ale siły opuszczały go coraz gwałtowniej; ileż-bo przebył *kibrat haarec* [1]), ile dni trwała droga?

---

[1]) Kibrat haarec to samo co parasanga perska = $^3/_4$ mili niemieckiej.

W dolinach i na wzgórzach jaśniały kaganki coraz liczniejsze...

Starzec otwierał oczy i pytał, czy daleko. Wreszcie westchnął głęboko i ledwie dosłyszalnym głosem wyszeptał:

— Tu mnie złóżcie, tu umrę pod miastem... czuję, że tu umarł ojciec mój w obronie tego miasta, on na początku niewoli, a ja przy końcu. Spotkam go w otchłaniach szeolu i opowiem, że Bóg powrócił nam wolność... Odbudujcie dom i grób mi tu zbudujcie... tu, nie gdzieindziej... Niech wam Bóg błogosławi, dzieci moje; niech przyświeca wam zawsze gwiazda wolności...

Westchnął i duch uleciał do ciemnego szeolu złączyć się z przodkami.

Tak skończył Aminadab!

KONIEC

Wyższa Szkoła Pedagogiczna BIBLIOTEKA GŁÓWNA w Kielcach

1/3

400,—

75/85

WYŻSZA SZKOŁA
PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA
174040

Biblioteka WSP Kielce
0122059